

24

Podarek Nowy

dla
Polskiej Działwy w Ameryce
Napisał K. Wachtel



Nakładem i Drukiem Wydawnictwa Braci Worzałłów
Stevens Point, Wis. U.S.A.



II 1.413.424

K. WACHTEL

— ◆ —

“PODAREK NOWY”

DLA

Polskiej Działwy w Ameryce



Nakładem i Drukiem
Wydawnictwa Braci Worzałów
w Stevens Point, Wis.
w Stanach Zjednoczonych Północnej Ameryki



“Podarek Nowy”

Oto “**Podarek**” niesiem nowy!
Druh szczery do Cię, Działwo bieży:
Zwróćcież doń jasne wasze głowy,
Kochana witaj nam Młodzieży!

Książeczka—to towarzyszy stary,
Powiastki macie tu, wierszyki,
Obrazków, hej!—bez liku, miary...
Nuż doń Dzieweczki, nuż Chłopczyki!

Czytajcie, co wam opowiada
Miła nauczka w łatwej mowie:
Rozumek rośnie z niej nie lada,
Jaśniej się robi w sereu, w głowie.

Czytajcież wszystkie Polskie Dzieci
Waszą ojezystą, polską mową!
“**Podarek**” w duszach waszych nieci
Tej cudnej mowy miłość nową.

On szczepi miłość enoty, Boga,
Jak Anioł Stróż od złego strzeże
Więc czytaj chętnie, Działwo droga,
Przyjmij “**Podarek**” nasz w ofierze.

On małych swych przyjaciół szuka—
I wita was miłemi słowy:
Do Polskich Dzieci serce dziś puka
Dla Was—“**Podarek Nowy.**”

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001020719430

BIBLIOTEKA
NARODOWA
BN

1988 K 695/2

71.413.424

Jak Się Bawili Jaś, Józio i Justysia.

Jaś, Józio i Justysia była to wesoła trójka rodzeństwa: dwaj chłopcy, starsi, chodzili już do szkoły, Justysia, najmłodsza, dopiero najbliższej jesieni miała pójść do pierwszej klasy. Mimo to chłopcy z małą swą siostrzyczką bawili się ochotnie, a tak doskonale, że zwykle — gdy powrócili ze szkoły, a odrobili lekcje swe i zadania na dzień następny, to już ci całe podwórko ich rodzicielskiego domu pełne było dziecięcego rozgwaru. Więc w konia szła za-



bawa, albo w chowanego, czasem w ślepą babkę, a czasem znów bawiła się młoda wiara zabawkami, które im dobrzy kupowali rodzice: to piłką, to wózkem, albo wreszcie i lalką Justysi, która odwzajemniając się braciszkom, nigdy im lali swojej nie broniła.

A była ta lalka strasznie wielką damą: duża, piękna, z długimi włosami jasnymi, umiała oczy przemykać, gdy się ją kładło, a u oczek tych miała śliczne długie rzęsy. Mama Justysi uszyła dla tej "panny lalki"

parę pięknych sukienek i kupiła jej pończoszki i buciczki lakierowane ku niemałej radości Justyni.

Dziewczynka ogromnie lalusię swą kochała i całymi dniami bawić się nią lubiła; chłopcy — co prawda — mniej się lalką zajmowali, bo to — jak mówi Jaś — zabawka nie dla chłopca, Józio zaś utrzymywał, że za wiele trzeba na nią uważać, by się nie powalała, nie rozeczochrała, lub nawet i nie stłukła.

A nazywała się ta lalka Justyni — “panna Irena;” Justysia ją ogromnie szanowała, wciąż ją przebierała, czesała, rozbierała, usypiała, a przy tem śpiewała jej taką samą piosenkę, jaką matusia nuciła, usypiając jej najmłodszą, kilkomiesięczną siostrzyczkę.

Pytacie — jak to idzie ta piosenka? A no tak:

Aaa, kotki dwa
Szare—bure obydwaj:
Jeden chodzi po sieni
Trzyma łapki w kieszeni
Drugi, co ma nos czarny,
Myje pyszczek figlarny.

Z pewnością niektórzy z Was,—mali Czytelnicy — znają tę piosenkę, bo ją i Wam może — Wasze śpiewały mateczki.

Otóż tę to piosenkę śpiewała Justysia swojej lali, a lalka wtedy naprawdę oczka przymykała, jakby istotnie miała usnąć.

Wczoraj — kiedy Jaś i Józio powrócili ze szkoły, że to dzień był ciepły i piękny, wydobyli do zabawy na podwórko wózek, na czerwono malowany, na którym wielkie widniały litery “Express”; znacie zapewne i takie wózki i sami się niemi nieraz bawicie.

Wnet chłopcy zawołali Justysię do zabawy: chcieli ją wozic w wózku, ale że Justysi lalka już zasnęła, przeto dziewczynka wolała lalę położyć do wózeczka, Jaś się zaprzęgnął u dyszla i był konikiem, woźnicą została oczywiście Justysia; nie byłaby ona nikomu powierzyła kierowania wózkiem, bo przecie we wózku tym smacznie spała jej lala — “panna Irena”, więc tylko dziewczynka mogła na nią uważać... Józio narazie został na uboczu: miał on bowiem być kowalem...

Jadą tedy — jadą dzieci po podwórku: Justysia — woźnica kieruje konikiem, Jaś — konik bryka i fika i wyskakuje, to podbiegnie, że go utrzymać trudno, to znowu przystanie, a Justysia wykrzykuje na konia: “Wio, wio — kary!” — albo: “Kidap”... (get up), a czasem i “Hou! Hou!” — tak powstrzymuje rozhukanego rumaka; a lalka śpi sobie i śpi — jakby nic nie czuła i nic nie słyszała!...

Ale konik bryka, bryka, aż — — zgubił podkowę.

Jazda tedy do kowala; jest nim — jakeśmy Wam powiedzieli — Józio, który teraz wziął do ręki mały młoteczek, kazał Jasiowi podnieść nogę i dobrze mu wypukuje na obcasie trzewika. Przytem znów mówiły sobie dzieci następujący wierszyk, również dobrze znany:

Justysia: Kowalu! Kowalu! Podkuj mi konia.

Józio: Zaraz mój panie, ogień rozpale...

Wszyscy: Kutkułut — Kutkułut — Kutkułut!

W takt uderzeń młoteczka, padały słoweczka, a śmiała się przytem cała trójka, że aż hej! Tylko lalka śpi i spi!—To ci śpioch dopiero!

Nareszcie konik podkuty — ruszono dalej w drogę — lecz po chwili powtarza się ta sama znowu historya.

Tak się długo i pięknie dzieci bawiły i mile im czas schodził na podwórku, aż mama wreszcie zawołała je na wieczerzę.

Były to grzeczne dzieci: jedno drugiemu zabawek nie odbierało — nie wyrывało, lecz wszystkie razem bawiły się zgodnie, jak przystało miłującemu się rodzeństwu. Naśladujcie je kochane dziateczki.



PSZCZOŁY.

“Poco biedzisz się tyle—męczysz w pocie czoła?”

Rzekła do starszej siostry pewna młoda pszczoła.

“Ty ciągle skrzętnie brzęcząc, liczne zwiedzasz kwiatki,

“Nim odrobinę miodu zaniesiesz, do matki!

“Ja sse wszystko z kwiatuszków—nie jak ty—potrosze,

“Przekonasz się, że więcej do ula naznoszę...

Na to rzecze jej starsza:—Nowa twoja moda!

Zaraz poznać z twej mowy, jakaś jeszcze młoda!

Nie wiesz, że w wielu kwiatkach i jad znaleźć można,

Ej radzę ci, siostrzyczko, szczerze: bądź ostrożna!

“Nie trzeba mi twych nauk!”—gniewnie odrzuciła

Młodsza i do pasieki chyżo pogoniła,

By chwalić się przed matką z swej wielkiej pilności,

Nagle w drodze okropne chwytają ją mdłości!

Wnet siły utraciła—tak swój błąd odczuła.

Bo miodu nie zrobiła—a jadem się struła...



GNIAZDKO.



IMIENINY LALKI.

W pewnej rodzinie było czworo dzieci; dwaj chłopcy, starsi—Henrys i Karolek, i dwie młodsze dziewczynki, Lusia i Walusia.

Właśnie przypadał dzień św. Walentego, patrona najmłodszej Walusi, więc mama tych dzieci, postanowiła urządzić im z tej okazji zabawę dziecinną, zwłaszcza, że i druga w dniu tym przypadała uroczystość, mianowicie imieniny lalki Walusinej—ślicznej “Panny Walentyny.”

Powiedziała dobra mama córeczkom swym o tem, co dla nich zrobić zamyśla; ucieszyły się one niezmiernie i natychmiast zabrały się do przygotowań bardzo wielkich, aby te zabawę, którą “Imieninami Lalki” nazwano, urządzić jak najwspanialej. Więc przedewszystkiem za zezwoleniem mamusi rozesały kilku znajomym dzieciom zgrabne małe “Walentynki,” czyli obrazki z zaproszeniami na te “Imieniny Lalki”; posłały je także nawet braciszkom Henrysiowi i Karolkowi, a potem wzięły się do roboty, do przygotowań na ten dzień oczekiwany. Wyszprzątały tedy “pokoje” lalczyńskie, wyczyściły kuchenkę, poukładały i uporządkowały zabawki na półkach i półeczkach, poprały i poprasowały lalczyńską bieliznę, a kiedy się już z tą “ciężką robotą” uporały, zabrały się do pieczenia ciast i gotowania potraw na przyjęcie swoich gości.

Piekły i gotowały przez dzień cały; Naczyńka ich, garnuszki i talerzyki w ciągłym były ruchu, kuchenka nie spoczywała ani przez chwilę, podobnież jak i obie małe gosposie. A mamusia dała im ze swego gospodarstwa różnych rzeczy do tego “gotowania.” Dała im troszkę mąki, rodzynków, cukru, dała bułeczek i chleba i cukierków garstkę i jabłko całe i wody nawet pozwoliła używać! Więc “kucharstwo” odchodziło, że aż hej!

Zapewniam Was—mili mali Czytelnicy—że w żadnej księdze kucharskiej nie znaleźlibyście takich potraw, jakie wtedy Lusia z Walusią wymyśliły; żaden kucharz, żadna kucharka, choćby i najznakomitsi, nie potrafiliby tego sfabrykować i takich nie uwarzyliby przysmaków.

Robiły tedy nasze dziewczątka ciasteczka i torty, z jabłka gotowały konfitury, tarły bułkę, z chleba pieczeń piekły—i ktoby to tam wszystko zapamiętał! Ale najmłodszej Walusi wkrótce nie dość było tych przypraw, których mama udzieliła; oto trzeba jej było jeszcze migdałów, cynamonu i innych korzeni, trzeba było koniecznie, bo inaczej potrawy i ciasta mogłyby się popsuć, lub nie byłyby smaczne. Więc małe, drobne kamyczki, nazbierane kiedyś nad jeziorem, stały się odrazu migdałami, a miazga utłuczona cegła zastąpiła doskonale cynamon;

nadto Walusia słyszała, że mama do niektórych potraw używa goździków, a nie wiedząc, że te goździki są przyprawą korzenną z obcych krajów, gorących, do nas przywożoną, myślała, iż to zwyczajne goździki nadają się do gotowania. Poszła tedy do skrzynki z goździami, nabrała całą garstkę drobnych goździków i z wielkiem zadowoleniem wyspała ich sporę do swoich ciastek, potraw i przysmaków.

Nie sprzeciwiała się temu Lusia, choć się jej ta żelazna przyprawa nieco dziwną wydawała, ale myślała — skoro ciasta i przysmaczki mają być lepsze z goździkami, to trzeba użyć tych goździków, a jakie one będą, korzenne, czy żelazne, to już kucharkom wszystko jedno, byle smakowały tym, co jeść mają.

Na szczęście mama myślała inaczej i nie zdając się na gotowanie swoich małych córeczek, napiekła sama doskonałych ciasteczek bez ceglanego cynamonu i żelaznych goździków, a zato z wybornymi konfiturami.

Przyszedł nareszcie dzień “imienin lalki,” z niecierpliwością oczekiwany. Popołudniu zeszli się goście, parę dziewczynek, z których każda ze swą lalą przysłała i kilku chłopców, którzy zaczęli zaraz bawić się z Henrysiem i Karclkiem. Potem wszyscy razem bawili się grzecznie w “lataptaszka,” “ciuciubabkę” i inne gry pokojowe, a i lalki razem z solenizantką “Panną Walentyną” brały w zabawie bardzo poważny udział.

Wreszcie nastąpiła uczta imieninowa: ustawiono dla lalek stoliki i krzeselka, a ponieważ było tych gości zbyt wiele, aż krzeseltek zabrakło, więc posadzono resztę lalek na klockach, pudełkach itp.

Przyniosły dziewczynki swoje marcypany! Na talerzykach, półmieczech, we foremkach w rondelkach, pełno było kulek, kupek najrozmaitszego kształtu i koloru, a zapewne i smaku. Przed lalkami na stolikach, zaścielonych obrusami, ustawiono talerzyki, położono łyżeczki, serwetki i wszystko, co należy. Dokoła zebrała się dziatwa, dziewczynki krzątały się żwawo, nawet chłopcy przyglądali się z ciekawością.

Ale lalki nie jadły! Żadna ani nawet buzi nie otworzyła! Widocznie wstydzily się biedaczki tylu gości. Dzieci nakłaniały je, zapraszały lecz nie to nie pomogło, lalki jeść nie chciały.

Wówczas Lusia i Walusia zaczęły częstować owymi specyałami prawdziwych swoich gości — przybyłe dziewczynki i chłopczyków. — Ale, o dziwy! — I oni jeść nie chcieli placków i babek, z których to kawałek kamienia wystawał, to goździk ostry sterczał do góry, to znów widać było kawałki cegły, nie dość dobrze potłuczone, aby cynamon dobrze udać miały. Nawet Henryś i Karolek, co to bardzo lubili łąkotki, tym razem nie byli wcale ciekawi na dzieła kucharskie swoich siostrzyczek; co więcej i czemu już wszyscy nadziwić się nie mogli, nie chciał ich jeść nawet pisek Smyczek, którego rodzice Lusi i Walusi trzymali, a który przepadał za słodyczami i był zawsze gotów w ogień i we wodę skoczyć za nimi. Teraz, zawołany do stołu lalczyńskiego, obwachał poważnie i jakby z obawą o swe cenne zdrowie — wszystkie talerzyki i miseczki, pokręcił nad nimi nosem, kichnął, parsknął, bo mu

cegła w nos zaleciała, a może się i ukłuł jakim gwoździkiem — kichnął parsknął raz i drugi, potem obrócił się i poszedł...

Zgorszyli się wszyscy tak nieprzyzwoitem zachowaniem pieska, nawet lalki, zdziwione, patrzyły w milczeniu szeroko otwartymi oczyma...

Nie było co robić, półmiski i talerze nietknięte schodziły ze stołu. Na szczęście dał się słyzeć głos mamy:

—Pójdźcie no teraz na moją ucztę! Zobaczymy, czy Wam również smakować nie będzie!—

Nie dała się dziatwa prosić i zwawo pośpieszyła do jadalnego pokoju, gdzie czekał na nią suty i smakowity podwieczorek. Co tam dopiero nie było! Były ciastka i placuszki i owoce i kawa doskonała; jedz i pij dziatwo—co chcesz i ile chcesz!

Tym razem nikt nie odmówił: chłopcy i dziewczątka zmiatali na wyścigi z talerzy, a gwaru było przytem, a śmiechu z owej poprzedniej, lalczyńskiej uczty, przez Lusię i Walusię przygotowanej — co niemiara! Pod koniec podwieczorku wszyscy powinszowali małej Walusi, która razem ze swą lalą tak uroczyście obchodziła imieniny, a podziękowawszy mamie za sute i smaczne przyjęcie, powrócili wszyscy do ohozej zabawy.

Wieczorem rozeszła się dziatwa do domów, nadzwyczaj zadowolona; lalki również były uradowane ze swej wizyty i zabawy. Najwięcej szczęśliwe były obie nasze gosposie, Lusia i Walusia, nie mniej się też cieszyła, choć tego zbyt nie okazywała, poważna solenizantka — “Panna Walentyna.”



Rozmowa z Panem Jezuskiem.

I.

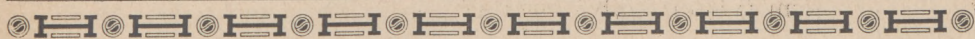
Boziu mój! proszę, spraw koniecznie,
By ze mnie wyrósł chłopczyk, dobrze wychowany.
Więc modląc się o to, zaraz spytam grzecznie:
Jak się miewasz dzisiaj, Boziuniu kochany?!...

II

Jezusku! Najśodsze Dzieciątko Ty Boże!
Mój bączek mi zginął! Ach! Wielką mam szkodę!...
Niechże mi też Bozia poszukać pomoże...
Przez pamięć Jezusku, na latka Twe młode
Wszakżeś Ty—Dzieciątko, też pewnie szukało,
Gdy Ci się ze zabawek Twych co zapodziało.

Anioł Stróż.

Pomnij to sobie Dziecino droga,
Że wszędzie i w każdej dobie,
W którąbądź stronę stąpi twa noga,
Ktoś zawsze stoi przy tobie.
Ktoś na twe wszystkie spogląda czyny
Nawet twe myśli dostrzeże,
Czy w dzień, czy w nocy — każdej godziny
W czułą opiekę cię bierze.
Chroni cię, dziecko, na każdym kroku,
Strzeże od cierpień i troski,
Tak wciąż u twego przebywa boku
Stróż Anioł, posłaniec boski...
On pięknych myśli natchnienie zsyła,
Uczy, by pragnąć dobrego,
On cię przestrzega, dziecino miła,
Byś nie robiła nic złego.
Więc jeśli dobrze czynisz kochana,
Jakże się Anioł Stróż cieszy,
Radośnie wtedy w niebo do Pana
Z modlitwą pochwalną śpieszy.
A jeśli zbłądzisz, gdy od dróg cnoty
Duszką się twoją oddali,
Płacze twój Anioł i swej zgryzoty
Przed Bożą Matką się żali.
Więc o tem pomnij, dziecię kochane,
Ta myśl niech krzepi Twe siły,
Żeś Aniołowi w pieczę oddane
Z kolebki aż do mogiły.
Ucz się i pracuj i módl się wiernie,
I kochaj twego Anioła,
A on ci w różę skwieci trosk ciernie,
Świat ci rozzłoci dokoła —
I łask ci Bożych wyjedna zdroje,
Plon życia da pocziwego;
Anioła Stróża czeij, dziecię moje,
I zawsze módl się do niego.



Listy do Aniołka.

W ostatnich dniach Zochna i Linka są nadzwyczajnie pilne i pracowite!... Nie znaczy to, że zresztą są one leniuszkami, ale zawsze — już to rzecz u dzieci niezadka, wołały się one bawić lalką, lub klockami, aniżeli biedzić się z elementarzem, albo mozolnie gryzmolić literki koślawe w zeszytiku. Szczególniej młodsza Linka, ilekroć ją Mama woła do nauki; to ma zawsze tysiąc ważniejszych interesów przedtem do załatwienia, a jak nie — to albo jej się zeszyt zgubił, albo ołówek zapodział; jednym słowem zwykle, zawsze niemal, zdarzały się jej jakieś takie nadzwyczajne przeszkody.

Ale ostatnimi czasy i Zochna i Linka miały wszystko w porządku i nawet poza lekeyami zwyczajnymi z Mamusią, skrobały, smarowały i pisały przez dzień cały; w kąć rzuciły klocki, nie tknięte siedziały w swych krzeselkach lalki — zdziwione, że dziewczynki, tak bardzo są zajęte, iż nawet spojrzeć na nie nie mają czasu.

I naprawdę nie miały czasu dziecięta, bo pisały... listy do Aniołka! Pisały od rana do wieczora, pisały co dnia przez dni kilka, bo to — rozumiecie — rzecz nie łatwa dla pięcio czy sześćo letniej dziewczynki napisać list, i to długi list, do kogo? do samego Aniołka!

O dobrze się trzeba nad takim listem napocić trzeba główkę nabiedzić, aby zapamiętać wszystko, co się chce napisać, aby czego nie zapomnieć; a przecie i starannie liścik taki napisany być powinien! Czyż nieprawda?

Miały tedy dziewczynki niemało kłopotu.

A jak się to stało, że się do owych listów zabrały? Otóż tak:



Pytają się przed kilku dniami, co to jest i kto to jest ów Santa Claus, o którym tyle słyszały; myślały, że to jest nasz polski Święty Mikołaj:

Mama starała się im tę zawiłą sprawę tak wytłumaczyć: Santa to wcale nie nasz Święty Mikołaj, co to w dzień swego święta, dnia 8-go grudnia, dziatki łakociami obdarza. Nie, nasz Święty był wielkim, znakomitym i pobożnym Biskupem i dziś jest w niebie u Bozi, a ów Santa Claus, to sobie zwyczajny, wesoły i żartobliwy staruszek z długą siwą brodą i nosem od zimna czerwonym; chodzi on w czerwonym kubraku i wysokiej czapie, jak go to na obrazku widzicie. Santa Claus to raczej posłaniec Św. Mikołaja, albo Aniołka, który na pamiątkę urodzin małego Pana Jezuska w żłóbku betlejemskim, chcąc rocznicę tę cudną również małym dzieciom tem radośniejszą uczynić, posyła im śliczne zabawki i choinki ozdobione świecidłami, łakotkami i świeczkami jarzacami. Kiedy w rodzinie jakiej dzieci są grzeczne, wówczas i Św. Mikołaj i Aniołek, o nich pamiętają i ze zezwoleniem Najśw. Dzieciny, Jezuska małego, posyłają do nich owego Santa Claus z całą masą śliczności i smaczności.

— A skąd Aniołek, albo Święty Mikołaj mogą wiedzieć, że dzieci są grzeczne? pyta Linka!

— Mamusia mówiła, że Bozia wie wszystko, że Anioł Stróż też wszystko widzi, co dziecko robi... — rzecze starsza Zochna.

— Tak jest, tak, niezawodnie Anioł Stróż wie najlepiej, czy dziecko jest grzeczne, czy nie i on tam w niebie, z pewnością powie o tem, komu potrzeba. A oprócz tego rodziciele też wiedzą przecie, jak się ich dziatki sprawują i oni to proszą Bożę o wszystko dobre dla małych swoich pociech.

— Jak tak, to doskonale! woła Linka — Ja zaraz mamusie proszę, aby Aniołka poprosiła, by mi przyniósł osiołka i naczynka dla lalek i — co jeszcze, co to jeszcze?...

— A dla mnie łyżwy — dodaje Zosia — i książkę z obrazkami i farby i...

— Hoha, hoha; czekajcie moje panny! Tak to nie idzie: Jest zwyczajem, że dzieci przed gwiazdka piszą listy do Aniołków swoich, w których wyrażają im prośby swoje, pragnienia i życzenia; listy te oddają mamusi, która, jeśli uzna, że są porządnie, czysto, ładnie i grzecznie napisane, — postara się o to, aby owe życzenia dzieci zostały wypełnione. Tak i w w. zróbcie Kochane: iak umiecie, ile umiecie, wypiszcie Aniołkowi, co wambyście pragnęły dostać, o co go chcecie prosić, a potem listy te zanieście Mamie, Mama zaś z Tatkiem pomyśli o tem, co zrobić z tym fantem.

— Doskonale, doskonale!... Zawołały obie i natychmiast zabrały się do pisania listów.

I pisza, a nisza... Hej, co one już papieru napsuły, ile razy ołówki im się połamały! Nie zliczyć tego! Ale nie ustępują — pisza wytrwale, skrobą, smarują i pewnie w tych dniach niewiele więcej się literek nau-

czyły, niż poprzednio w całym miesiącu! Wieczorem Mamie listy oddały, prosząc o pomoc i poparcie ich próśb serdecznych.

Tato widział dwa takie listy do Aniołka i doszedł do przekonania, że naprawdę tylko Aniołowie, wszystko wiedzący, mogą być mądrzy z tych gryzmołów i mogą się z nich domyślić owych tysięcznych pragnień dziecięcych. Zosia — starsza — jeszcze tam daje sobie radę jako-tako, ale mała Linka, która umie pisać tylko liter parę, nabiedziła się niemało. Aby sobie pomódz, obie odrysowują literki z elementarza, dowiedziawszy się wprzód od Mamę, jak się tam to lub to słowo sylabizuje. Ostatnio Linka wpadła na wyborny pomysł: "Nie umiem jeszcze pisać — powiada — ale to, czego nie potrafię wypisać, to Aniołkowi wyrysuję!"... I rzeczywiście rysuje, a takie częściowo literami zagryzmołone, częściowo zasmarowane bazgrotami dziecięcemi, kartki oddaje Mamie — zupełnie zadowolona ze siebie i spokojna, że choć nawet Tatuś nie wie, co tam tn. lub ów "rysunek" oznacza, to, jednak Aniołek — jest Bozia — Aniołek wie wszystko, on pozna z łatwością z rysowania tego, czego dziecię pragnie i o co go prosi...

Mocną i szczerą jest wiara dzieci, to też wierzymy, a nawet, wiemy — na pewne, że nie zawiodą się one w swych oczekiwaniach, bo już tam Mama i Tatko postarają się o to, by im Aniołek Jezusowy przyniósł w wieczór wigilijny to wszystko, o co proszą tak bardzo w owych serdecznych "listach do Aniołka."



Katar w Szkole.

Marylka katar rąz złapała,
Gdzie szła, tam katar z sobą brała,
I coś w gardziółku ją bolało;
Bo w domu zostać się nie chciało.

Więc i do szkoły poszła mała,
Myśląc, że katar zgubić zdoła;
Lecz — wnet kichała — klasa cała,
Zaczęła kaszlać — cała szkoła.

Nauczycielka się zabrała,
By wygnać biedę z dziatwy grona,
Ale się sztuka nie udała
Bo — pścich!... — już katar ma i ona!...



CHOINKA.



Okropna Operacya.

(List lalki).

Słyszę że ludzie piszą tyle listów, więc mnie chętna zabrała, by także choć raz skreślić liścik.

Kto ja jestem?—pytacie. Jestem sobie Panna Lala, a mieszkam obecnie u dwu grzecznych dziewczynek, razem z moją towarzyszką, podobną do mnie, jak dwie kropelki wody. Do dziewczynek tych przybyłam razem z ową towarzyszką moją, również lalą—w czasie ostatniej “Gwiazdki,” a przywieźli nas aż z Francyi! Mamy obie krasne buzie, długie włoski, umiemy zamykać oczy i ruszać głową, rękami i nogami, mamy też śliczne sukienki, kapelusze i lakierowane trzewiki.

Dziewczynki nasze bardzo się nami ucieszyły i kochają nas okrutnie, bawiac się z nami przez dzień cały. Mamy też swoje graciki, mebelki krzeselka, szafy i kuferki na garderobę, słowem wszelkie wygody.

Jesteśmy tedy bardzo zadowolone z naszych panienek, z których starsza nazywa się Józia, a młodsza Frania; mają one także braciszka, Stasia, którego troszkę się boimy, bo jest to starszy chłopczyk, a lalek, widać, nie lubi i często im i siostrzyczkom swoim figle stroi, dla nas nie bardzo przyjemne. Na przykład: porwie mnie, lub moją towarzyszkę i nie chce siostróm oddać, schowa nas do jakiej ciemnej dziury, złapie to za rękę, to za nogę, co—przyznacie kochane dzieci, jest nie bardzo przyjemne nawet dla lalki, która jest przyzwyczajona, że się z nią grzecznie i delikatnie obchodzi.

Towarzyszka moja, której na imię jest Mimi—przechodziła w tych dniach ciężką chorobę, a nawet straszliwą operacyę. Nabawiła się tego wszwstkiego—dzięki figlom Stasia, braciszka naszych panienek. Ten to panicz, chcąc siostróm psotę zrobić, pochwycił Mimi, przestraszoną niemało i podrzucił ją w górę. Nasze panienki z płaczem pospieszyły na pomoc, aby lalkę odebrać, ale Staś złapał biedną Mimi za nogę i trzymał z całej mocy. Starsza Józia również mocno ciągnęła lalkę do siebie; nie wiele brakowało, a byłiby ją rozerwali na sztuki! Wtem Staś nóżkę Mimi skrecił, szarpał, dał się słyszeć trzask, krach i oto lalka została w rękach Józii, a Staś z nóżką w ręce przewrócił się z rozmachem na dywan.

Nie sobie chłopczyk na dywanie nie zrobił, ale Mimi straciła nóżkę, odłamana poniżej kolanka; widocznie spojenie było tam nie dość silne, tak, że przy mocniejszym szarpnięciu skruszyło się i noga się odezwała... Co to było płaczu, co narzekania między dziewczynkami! Ajajaj! Tego wam opisać nie potrafię!... Przyznać jednak trzeba, że

dziewczynki dobre nie poskarżyły mamie na Stasia, iż im lalkę zepsuł, za co im on obiecał, że lalkę naprawi i wykuruje doskonale; nadto przyrzekł, że już nigdy więcej, ani siostrom, ani ich lalom dokuczać, nie będzie.

Zabrano się natychmiast do operacyi. Biedną Mimi dziewczynki rozebrały i położyły do łóżeczka lalczyńskiego, Frania zdjęła jej pończoszkę i wszyscy zaczęli oglądać nóżkę złamaną. Na szczęście nie była spuchnięta i krew nawet wcale nie ciekła, czemu się okropnie dziwiłam! Staś przyniósł lak, świecę, słoiczek bardzo mocnej gumy do klejenia, a dziewczynki z płótna ukroiły długi bandaż, jakby taśmę szeroką. Potem Staś złamaną część nóżki obficie zmoczył w gumie i silnie przyłożył do złamanego miejsca; chwyciło odrazu! Następnie dziewczynki zaświeciły świecę, a "pan doktor" Staś stopił nad nią nieco laku i te miejsca, w których brakowało okruszków kolanka, zalał lakiem i wyrównał nożykiem; poczem jeszcze dziewczynki nóżkę obandażowały, związały mocno, a gdy na to wszystko ubrano pończoszkę, naprawdę ani znać nie było, że nóżka była kiedykolwiek odłamana.

Mimi wcale nie płakała podczas tej okropnej i długiej operacyi, owszem była bardzo cierpliwa, spokojniuteńko leżała i tylko oczy zamknęła, zresztą ani drgnęła! Ja przyznam się, byłam tak przerażona, że patrząc na to, języka w buzi zapomniałam. szeroko otwartymi oczyma śledziłam robotę "doktora Stasia" i ażem lżej odetchnęła, kiedy się już wszystko skończyło...

I na drugi dzień Mimi była zdrowa! Ten Staś—to będzie chyba kiedyś naprawdę doktorem, skoro tak doskonale wykurował moją towarzyszkę! Zobaczymy tylko, czy tymczasem nam figle i psoty wyprawiać przestanie!

Panna Lala.



Niespodzianka dla Babci.

W pewnej polskiej rodzinie nadchodził dzień Imienin babci, a trzeba Wam wiedzieć, że równie dzieci w owym domu, jak i rodzice dzieci tych, bardzo babcię szanowali i serdecznie ją kochali, bo była to bardzo dobra, łagodna — wiecznie uśmiechnięta staruszka. Gdy które z dzieci co zbroiło — choć się to rzadko zdarzało, bo były to grzeczne dzieci, — to babcia zawsze wstawiała się za nimi i wyprosiła je od bury...

Wieczorami zbierała ona koło siebie młodą gromadkę, jako ta kwoiczka kureczęta zgarnia pod opiekuńcze swe skrzydła — i wówczas Zosia, najstarsza, średnia Lusia i najmłodszy Henryś siadały wszystkie dookoła babki, a ona o zmroku — szarą godziną, opowiadała im śliczne historye o Lechu i białych orłach, o księżniczce Wandzie, co Niemca nie chciała, albo o kniazium Krakui i przebrzydłym smoku podwawelskim, co to ludzi i zwierzęta pożerał!... A dzieci słuchały pilnie, uważnie i zapamiętywały sobie dobrze owe śliczne historye i opowieści i bardzo chętnie ich słuchały, wciąż się też dopraszały o nowe, dobra zaś babcia spełniała zawsze prośby swoich ulubieńców.

Nie dziw tedy, że i dzieci okrutnie tę swoją babusię kochały. A kiedy zbliżył się dzień Imienin babci, myślały wszystkie o tem, aby babusi sprawić jakąś niespodziankę; szczególnie też dwie starsze dziewczynki, Zosia i Lusia łamały sobie małe główki, coby to wymyślić, bo Henryś — jako, że najmłodszy, a nadto chłopaczek — pustaczek, bawił się przez dzień cały, troskę zaś z Imieninami babci pozostawił w zupełności siostrzyckom.

Była to niedziela: mama przygotowywała obiad, tatko przeglądał gazety niedzielne, babcia w swoim pokoju siedziała, a mały Henryś "paś baranki", leżąc na brzuszku na dywanie koło ojca i z wielką ciekawością przyglądał się obrazkom w książce, podarowanej mu przez tatusia.

Nagle zawołały go siostry:

— Henrysiu! Henrysiu! Chodźno tutaj!

Zerwał się chłopczyk z dywanu i pobiegł do dziewczątek, które w drugim pokoju od chwili już coś tam bardzo tajemniczo szeptały.

"Słuchaj Henrysiu, rzecze Zosia—czy wiesz ty, co to jest jutro?"...

Henryś pomyślał chwilę, a potem odpowiedział rezolutnie:

"Dzisiaj—niedziela, to jutro będzie... sobota!"

— A kiedy nie — poprawia go Lusia—bo po niedzieli idzie poniedziałek!...

— “Poniedziałek? rzecze Henryś.—To szkoda, jabym wolał, żeby była sobota.”

— Dlaczego?

— “Bo po sobocie znowu by była niedziela i znowu na obiad byłaby taka smaczna leguminka, jak ta, co ją mama dziś gotuje, albo taki śliczny, wielki tort, jak ten, co go tato przyniósł jutro “wieczorem”.

— Ależ nie “jutro” Henrysiu, tylko wczoraj.

— “Niech sobie będzie i wczoraj, ale zawsze, jabym wolał, żeby było więcej — jak najwięcej niedzieli!... I już!”...

Roześmiały się dziewczynki z dowcipnego malca, aż Zosia znowu swoje prawić zaczyna:

— Widzisz Henrysiu, zawołałyśmy cię, ażeby ci przypomnieć, że to jutro Imieniny naszej kochanej babci, więc trzebaby się nam zastanowić, co byśmy to za niespodziankę mogli urządzić babusi.

— “Rodzice pewnie już coś ładnego od siebie przygotowali, wtrąciła Lusia, ale co my małe, biedne kurczątka—jak nas babcia nazywa, co my możemy dać, lub zrobić dla niej?

— Ja dam babci mojego pajaca! — wyrwał się Henryś...

— “Cóż babci po pajacu? Henrysiu!” Zauważyła Lusia...

— Co po pajacu? Będzie go ciągnąć za sznurek, a pajac będzie skakał, a babcia będzie się śmiała!...

— Więc cóż?

— Więc cóż?!

— “Kwiatków w ogrodzie jeszcze, niema, bo to dopiero początek wiosny, więc bukietu zrobić nie można.”

— Kupić też nie nie możemy, bo skarbonki nasze mamusia ma w szafie schowane, a — prosić ją o nie, to zarazby się mama domyśliła, że pewnie coś dla babci chcemy kupować. Tymczasem my pragniemy coś takiego, ażeby nikt ze starszych o tem nie wiedział, a tak nietylko babcia, ale i mama i tatko również ucieszą się naszą niespodzianką.

— “Tak, tak. Toby było najlepiej!” Westchnęła Lusia.

— “Ale co zrobić?”

— Ale co? —

Myślą dzieci, myślą, myślą — aż na czołkach chmurki zmarszczek wystąpiły, a Henryś obie piastki wbił w gęstą czuprynkę i patrzy na siostry, czekając od nich najpewniejszej rady i pomocy.

Aż nareszcie: — Mam! Wiem!... — zawołała radośnie Zosia.

— Co takiego, co takiego!

— Co? Co? Co?

— “Słuchajcie: Jak to Henryś przypomniał, przyniósł wczoraj tatuś wielki, wspaniały i zapewne wyborny tort; otóż jeśli nam dziś po obie-



dzie mama udzieli po kawałku tego tortu, pamiętajcie, nie zjadać, ale powiedzcie, że chcecie sobie torcik schować na później; — ja zrobię tak samo, później zaś, wieczorem zaniemiemy nasze torciki na talerzyku do pokoju babci tak, że jak się jutro zbudzi babunia, znajdzie na stoliku koło łóżka od nas talerzyk z ciastkami.

— Doskonale!—zawołała Lusia.

— Ślicznie! przywtórował Henryś i z radości machnął kozła z takim hałasem, aż tatko podniósł oczy od gazety i spytał, co się tam dzieje tak, że o mało co, a wszystko byłoby się wydało. Więc dzieci przycichły, jak myszki na pudle; rozeszły się zaraz, tylko jeszcze Zosia upomniała Henrysia, aby się nie zapomniał i tortu nie zjadł, ale chłopczyk z oburzeniem odepehnął od siebie to podejrzenie.

I stało się tak, jak dzieci umówiły: po obiedzie matusia wzięła się do krajania tortu i każdemu z trzech swoich piskląt spory ukroiła kawałek, ale dzieci podziękowały i wszystkie oświadczyły ochotę schowania sobie tortu na później; nawet Henryś, chociaż ślinkę łykał i oczął od pysznego ciastka nie mógł oderwać, z bohaterstwem wyrzekł się swego kawałka.

Po południu, gdy rodzice z babcią zajęci byli rozmową w innym pokoju, Zosia poszła do kredensu, wzięła stamtąd talerzyk, Lusia wyszukała śliczna bibułkową serwetkę, zdobioną kwiatkami, potem obie ułożyły ostrożnie ciastka na talerzu nakrytym serwetą, a Henryś skwapliwie powydziubywał okruszki. Pod wieczór Zosia po cichu zaniósła talerz z ciastkami do pokoju babci i postawiła go na stoliku, koło jej łóżka.

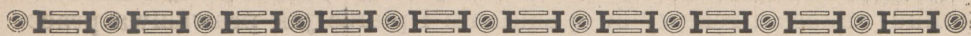
Po zabawie, po miło, wesoło spędzonej niedzieli, dziatwa spać poszła, zmówiwszy paciorek. Na drugi dzień rano mama pociechy swe pięknie ubrała, dziewczynkom dała do warczyków świeże różowe wstążki, a Henryś dostał krawat z pąsowej kokardy, z której był nadzwyczajnie dumny. Razem z mamą trójka młoda poszła do babci — powinszować jej Imienin. Babcia rozradowana przyjęła winszujących z otwartymi ramiony i zaraz po powinszowaniach zaczęła opowiadać maminie ze łzami w oczach o niespodziance, zgotowanej jej przez wnuczęta.

Skromnie dziatki słuchały, gdy je mama i babcia chwaliły za dobrą myśl i pocziwe serduszka, które im samym dziwnie się rozweseliły poczuciem spełnionego dobrego dziecięcego uczynku: jak umiały, tak zrobiły, aby babuni kochanej sprawić radość i okazać jej wdzięczność swoją i miłość.

A kiedy tatko powrócił do domu, nowa dziatki grzeczne spotkała pochwałą, bo babcia i tatkowi opowiedziała, jakie ma pocziwe wnuczęta.

Wreszcie dodamy, że za to śliczne, serdeczne powinszowanie dziecięce babcia kupiła wnuczętom swym nowy, doskonały torcik, na którym już cała trójka, Zosia, Lusia i Henryczek, używali, co się zowie...





PRANIE.

Były sobie trzy dziewczynki rówieśnice, to znaczy, że wszystkie miały równą liczbę lat; chodziły one do jednej klasy, a nadto były sąsiadkami, bo mieszkały wszystkie w pobliżu, przy jednej i tej samej ulicy. A nazywały się one: Jania, Hania i Frania. Uczyły się razem, pomagały sobie nawzajem w lekcjach i zadaniach, razem też chodziły do szkoły i zawsze z niej razem powracały, a wolnymi chwilami wszystkie znowu razem bawiły się zgodnie — jak trzy kochające się siostry.



Dziewczynki te miały liczne zabawki rozmaitego rodzaju, bo rodzice chętnie kupowali im od czasu do czasu rozmaite ładne rzeczy—w nagrodę za pilność i grzeczność, trzeba bowiem wiedzieć, — że dziewczeczki owe były naprawdę posłuszne i dobre i grzeczne, a w szkole uczyły się pilnie, zawsze uważały na to, co mówi Siostra Nauczycielka, dla koleżanek zaś były uprzejme i miłe! nie dziw zatem, że kochali je wszyscy: i rodzice i nauczycielki i koleżanki.

Jak rzekliśmy tedy, miały Jania, Frania i Hania rozmaite zabawki, najmiłszą jednak rozrywką, najulubieńszą zabawą była dla nich — jak wogóle dla wszystkich chyba dziewcząt—zabawka lalkami.

Każda z naszych znajomych miała piękną lalkę, a znowu każda lalka miała sukienki, buciki, kapelusze,—słowem całą garderobę! Dziewczynki nasze bardzo kochały i szanowały swoje laleczki, gdy zaś razem zebrały się na zabawę, więc albo urządzały “bal” dla lalek, albo naprawiały ich sukienki, lub szyły im nowe, albo też prały ich bieliznę, którą lalki—tak, jak dzieci—okrutnie brukały!...

Właśnie, tu Wam — Kochani — podajemy mały obrazek, na którym widzicie, trzy nasze znajome z tej powiastki, Janię, Franię i Hanię, zajęte bielizną swoich lalek.

Józia — widzicie — pierze w małej balijce, ustawionej na niskim stoliku: zakasała rękawy swej sukienki i pierze jak prawdziwa praczka!

Frania wdrapała się na ławeczkę i wieszka na sznurze, zawiązanym u gałęzi dwu młodych drzewek — kaftaniczki, koszulki, pończoszki i rozmaite inne “kawałki” garderoby lalczynej, — każdy kawałeczek zasię tej “wielkiej” bielizny dziewczynka umocowuje na sznurze przy pomocy małych zgrabnych kleszczyków... Przy niej na stołeczku stoi w koszyku wyprana już do wieszania bielizna, Hania zaś trzyma rozebraną lalkę i... gąbką myje jej buzię.

Do wesołego tego towarzystwa naszych trzech panienek, przychodzi jeszcze jeden Wasz i ich znajomy, a jest nim kotek figlarny, z którym Wy przecie tak bardzo bawić się lubicie. Kotek zbliża się i zagląda, co robią jego przyjaciółki...

Alé ja wiem, co jedna z nich robi, — ta co pierze...: pewnie prysnie wodą z balijki na kotka!...

Tak pomyśli niejedno z dzieci, czytających tę powiastkę...

Ano, nie wiemy, bo tego już nie widać na obrazku... Domyślajcie się same, Dziaćki lubie!



Kotysanka Ślepej Dzieciny.

Mateczko, ślepe dziecię twe,
Do Bozi śle modlitwę swą:
Aby w opiece miała cię,
Od trosk chroniła główkę twą....
I jeszcze: aby Anioł-Stróż
Błagania me wysłuchać chciał,
I tylko raz choć jeden już
W twe słodkie oczy spojrzeć dał...

I kładzie się do snu,

A matka nuci mu:

Spij drogie szczęście me,
Marzysz daremnie:
Nie dla cię—słonko, nie!
Lecz nocy ciemnie...
Niech Anioł strzeże cię
Od przebudzenia,
Pij w cichym, błogim śnie
Czar — zapomnienia...

PSOTNY SMYCZEK.

Historyjka poświęteczna.

W pewnej rodzinie chowały się zdrowo i wesoło dwie jasnowłose dziewczynki; starsza nazywała się Antosia, a młodsza Anusia. Obie były wcale grzeczne, posłuszne i zgodliwe, a choć niewiele liczyły latek, uczyły się dosyć pilnie i chętnie biegły do elementarza, gdy ich mama do lekcji wołała, starsza zaś zaczynała już nawet skrobać literki ołówkiem na papierze.

Kiedy przybliżyła się pora Bożego Narodzenia, obie dziewczynki z pomocą mamy napisały piękne listy do Aniołka, prosząc go, ażeby im z łaski i dobroci Najświętszego Dzieciątka Jezus, przyniósł drzewko krasne i zabawki rozmaite, które w listkach owych wymieniły dokładnie; nadto co wieczora, kładąc się na spoczynek, obie dodawały do zwyczajnego swego paciorka prośbę serdeczną: "Drogi, kochany Aniołku, prosimy cię bardzo ślicznie, przynieś nam drzeweczko od Pana Jezusa i te wszystkie zabawki, o jakich pisałyśmy ci w liście; pamiętaj tylko, kochany Aniołku, ażebyś niczego nie zapomniał.

I jakaż to, więc, — jakaż okrutna nastąpiła tam uciecha, kiedy istotnie w cudny wigilijny wieczór, po zjedzeniu wieczerzy uroczystej nagle



zadzźwięczał dzwonek w bawialnym pokoju, który przez dzień cały pozostawał zamknięty, ku niemałej obu dziewczeczek ciekawości, — a gdy drzwi doń otwarto, oczom dzieci uroczy przedstawił się widok: w samym środku pokoju stała wspaniała choinka, strojna świeczkami jarzącymi, świecidełkami najrozmaitszemi, obwieszona sownie całą masą cukierków i innych łakoci; w cieniu pod drzewkiem leżały zabawki i caeka, wszystkie, o jakie dzieci Aniołka prosiły... Dobry, kochany Aniołek, nie zapomniał niczego... Hej, tożto było wesela, radości, wrzawy i gwaru! Dziewczyнки oglądały podarki, ścisnęły i całowały rodziców, aż wreszcie wszyscy razem zanucili kolendy prześliczne, dziękując niemi Panu Bogu za pełne łask i darów zejście Jego Syna Świętego na świat, do ludzi.

Długo, późno w noc rozbrzmiewały śpiewy serdeczne, aż wreszcie dzieci, znużone śpiewaniem, poszły do łóżeczek i pomodliwszy się jeszcze z wdzięcznością, zasnęły szczęśliwe, obłożone otrzymanymi słicznościami, z którymi nawet w nocy rozstać się nie chciały.

Nastąpiła noc, cisza zapanowała w mieszkaniu, domownicy poszli na spoczynek. — Wszyscy? Ej, nie wszyscy! Nie spał jeszcze jeden z nich, ważny bardzo, towarzysz codziennych igraszek Antosi i Anusi, — piesek Smyczek...

Zapomnieliśmy przedstawić go Wam, mili Czytelnicy, przeto uczynimy to zaraz: Smyczek był to sobie średniej wielkości i średniej piękności psina figlarny, wesoły okrutnie, psotny nawet, a nadewszystko — łakomy. Miał on włoski kudłate, białe zupełnie, tylko uszy długie miał ciemno zabarwione; zwykł on się z dziećmi bawić na dywanie, w tym pokoju, gdzie teraz ustawiono choinkę, dokazywał przy zabawie, co niemiara, a lubił igrać z dziatwą, bo wiedział niecnota, że mu przy tej zabawie najczęściej kapnie to cukierek, to ciastko, które lubił ogromnie i które nawet bardzo często dzieciom wykradał. Ilekroć dziewczynki dostały od mamy jakie łakotki, oho, — już Smyk przy nich: już ogonem kiwa, a w oczy dzieciom zagląda, a nosem węszy i ani go odegnąć, ani się go pozbyć, tak się prosi, tak napiera, aby i jemu czegoś do połasowania udzielić.

Na pieska tego tato dzieciom ułożył następującą zagadkę:

Ogonem kiwa,
Na ludzi napada,
A zawsze dzieciom
Łakotki wykrada...

Kto to jest? A któżby; piesek Smyczek!...

Otóż ten to nie dobrego, drzemał sobie przez dzień cały pod piecem, a teraz kiedy wszyscy spać się pokładli, on zapomniany na dywanie w pokoju, bo zwykle noc w kuchni przepędzał — wstał z drzemki, przeciągnął się i już się zabierał powoli na swoje legowisko, gdy nagle poczuł woń jakąś niezwykłą, a miłą... “Co to tak pachnie?” — myślał Smyk — “Niby choinka z lasu, a niby... niby jakieś smaczności? Co to być może?...”

I węsząc poszedł do choinki. Prędko się panicz piesek poznał na owych zapachach: próbuje, przekonuje się, że nisko na gałązkach drzewka wiszą przywiązane cukierki, pierniczki i rozmaite smakołyki, jedno lepsze od drugiego! A, wszystko tak bliźutko tak niziutko, ot tylko sięgnąć i... chrupać!

— “Ale toż to najwidoczniej dla mnie tak nisko powiesili takie wyborne przysmaczki...” pomyślał piesek “dla kogożby innego!” — I nie wiele namyślając się, zaczyna zrywać cukierki i ciastka... Zadrżała, zatrzęsa się choinka, zadźwięczały na niej świecidełka i ozdoby;... ale Smyk nie nie zważa, zrywa jedno za drugim, sięga coraz wyżej, coraz wyżej!... Ot tam, na średniej gałęzce zwęszył cukierka, nadziewanego!... Doskonały, wyborny być musi... Dalejże do niego! Ale wysoko,... ale mocno uwiązany!... Zasadził się Smyk, doskoczył, schwytał cukierek w zęby, pociągnął, targnął raz i drugi... i...

I brzdęk, szcęk, łoskot, hałas okropny! Wali się drzewko całe na podłogę!...

Wybiegli rodzice Antosi i Anusi z jednego z dalszych pokoi, zobaczyli choinkę przewróconą i Smyka, co się z pod niej z trudem gramolił wystraszony. — Tato podniósł drzewko, postawił je i umocował, zaczęto zbierać pozrywane i potłuczone cacka i cukierki i co się dało, mama z powrotem uwiązała na drzewku, a psa z krzykiem napędzono do kuchni.

Na drugi dzień opowiedziano dzieciom o psocie Smyka; było sporo narzekania, ale na szczęście szkoda jeszcze nie była zbyt wielka i po choince nie wiele było znać, że sobie na niej piesek w nocy używał.

Co się jednak ze Smykiem stało? Ano, poszedł na całe święta — na łańcuszek do kuchni i do pokoju nie było mu wolno chodzić, a w dodatku ponoś i skóra porządnie była w robocie...

Taką piesek Smyk poniósł karę za swe szkaradne łakomstwo. Pamiętajcie dzieci, byście nigdy nie byli łakome.



Idzie Maj!

Dzieci! — Maj idzie!... Cudny maj:
Świat cały w krąg się budzi,
W uroczy się przemienia raj —
Dla kwiatów — ptaków — dla ludzi...
Rozkwitła, rozwoniała błoń,
Las w liść się stroi młody,
Nieb lazurami lśni się toń,
Radośnie szumią jej wody...
Z gaju dolata gwar i śpiew:
Ptaszcęca gra kapela!
Wietrzyka rozigrany wiew
Pieśń niesie nam—pieśń wesela!...
Wesoło dziatwo spojrzuj w świat:
Twe dni — to sama wiosna!
Kwitnijże wśród zarannych lat,
Szcześnie bądź i radosna!
I dobrą bądź. I Bogu służ!
— Pamiętaj polskie dziecię!...
I u stóp Maryi z kwieciami złoż
Twych serc najwonniesze kwiecie!...



Przygoda w Parku.

Kazio, Mania i Józia wybrali się do parku.

Było to w czasie wakacji: dziatwa używała wolności, co się zowie; dzień w dzień zabawy, gry, rozrywki najrozmaitsze; co dni parę wycieczka się jakaś zdarzyła; jednym słowem, używano lata i wakacji w całej pełni.

Ot i tym razem dzieci wybrały się, za pozwoleniem rodziców, do parku, zabrawszy do koszyczka przekąski; Kazio zabrał swoją piłkę, Mania wzięła lalkę, a Józia plik papierów, sznureczkiem owiązany.

Przyszedłszy do parku, dzieci biegały do syta, oglądały kwiaty na przesłicznych klombach, stawki, po których łódzie pływały, studnie, z których woda tryskała do góry; ach, napatrzeć się nie mogły tym ślicznościami!

Wkrótce też na świeżem powietrzu i apetyt się znalazł, więc cała nasza trójka usiadła na murawie, w cieniu drzewa i smacznie zjadła przysmaki, przez mamę przygotowane. A potem, po posiłku — dalej znowu do igraszek: była już i “łapanka” i “chowanka,” była “ciuci-babka”; Kazio zajął się piłką, Mania lalkę ubierała i rozbierała naprzemian, a Józia rozwinęła swoje z domu zabrane papiery:... — Okazało się, że były to gazetki dla dzieci i książeczka z wierszykami, więc obie dziewczynki z wielkiem zajęciem zaczęły czytać sobie piękne powiastki i wierszyki.

Wołały siostry i braciszka do czytania, — ale... nie posłuchał! jak to chłopak: za nudno mu było siedzieć spokojnie, wołał uganiać... Lecz Kaziowi wnet się i piłka sprzykrzyła... Co to warta gra w piłkę bez towarzyszy?!...

Zaczął tedy chodzić po krzakach, szukając orzeszków, lecz na orzechy było jeszcze za wczesnie, boć to przecie lato, a orzechy są jesienią dopiero. — Nie znalazł więc nasz Kazik orzechów, ale zato zobaczył — wiewiórkę...

Wiecie dzieci, że po parkach, zwłaszcza wielkich trzymają dla ozdoby — wiewiórki: dla ślicznych i miłych tych stworzonek budują na drzewach małe domki, w których wiewiórki ściela sobie legowiska, a żywią się orzeszkami, żołądziami, szyszkami, które znajdują jesienią i których zapasy całe gromadzą sobie skrzętnie na zimę, wiosną zaś i latem, sypia im pożywienie dozorey parkowi... Zwierzątka te tak dalece oswiają się w parkach, że ich widok ludzi bynajmniej nie straszy: owszem niejednokrotnie przychodzą one aż do ręki, gdy im się podaje orzecha, lub skórkę z chleba, albo ciastka kawałek; wówczas skradają

się ostrożnie, a wyjąwszy przysmak z palców, szybko i zręcznie—uciekają, śmiesznie trzepiąc ogonkiem i opodal, zjadają swą zdobycz, usiadłszy na tylnych łapczkach, a przednimi zręcznie przy pyszczku obrabiając otrzymane pożywienie...

Otóż nasz Kazik zobaczył wiewiórkę. Z wielką radością doniósł o tem siostrom; wszystkie dzieci pobiegły zobaczyć zwierzątko i zaczęły je wabić ku sobie, a Kazio postanowił ni mniej, ni więcej, tylko — złapać wiewiórkę i zabrać ją sobie do domu... Pobiegł więc do niej, ale zwierzątko w dwu susach znalazło się na drzewie... Za chwilę, wiewiórka nieco dalej znowu zesłała na ziemię i znów Kazio za nią pogonił — oczywiście również bezskutecznie. Długo trwała taka gonitwa; wiewiórka — jakby sobie szydziła z chłopczyka, raz poraz zeskakiwała na ziemię i znów wdrapywała się na drzewo, gdy ją Kazio ścigał. Już i siostry śmiać się z brata zaczęły i radziły mu, by wiewiórce... soli na ogonek nasypał, to ją może prędzej schwyci!...

Rozgniewał się chłopczyk i — zawział się okrutnie: nie ustąpił przecie; a widząc, że zwinnością i zręcznością, wiewiórce nie wyrówna, postanowił schwycić ją podstępem!

Oto wziął w rękę parę ułamków ciastka, które w koszyczku po przekąsce pozostały i zaczął wabić wiewiórkę, pogwizdując na nią i wołając: “Pusy, Pusy, Pusy...”

Teraz wiewióreczka, przystanąła, przysiadła na łapkach i uważnie słuchać zaczęła, a gdy ją chłopak wabił dalej, powoli w podskokach i susach zaczęła się zbliżać ku niemu: — gic, gic — przystanąła i patrzy; gic, gic — znowu kilka kroków bliżej... A Kazio gwizdże i woła wciąż — “Pusy”, a serce mu bije, aż drży z niecierpliwości... Wiewiórka już tak blisko, tak blisko. Chłopak nie rusza się z miejsca, nie biegnie, wie, że nie zgoni wiewiórki, więc tylko przysiadł i rękę już wyciągnął, trzymając w niej ciastko i podając je zwierzątku...

Nareszcie powoleńku, ostrożnie przychodzi mu wiewiórka już prawie do ręki, wyciąga pyszczek, chcąc powąchać ciasteczko — i jeszcze kroczek jeden się zbliża, już bierze ciastko z rąk chłopca, — gdy w tem... Cap! Kazio rzuca się całym ciałem na wiewiórkę, nakrywając ją niemal oboma rękami i z krzykiem “Mam! Mam!” ciśnie szamocące się zwierzątko ku ziemi...

Ale w tejże chwili staje się coś nieoczekiwanego! Oto Kazio z krzykiem bolesnym porywa się z ziemi i chwyta się z bólem za rękę — a wiewiórka w kilku susach, z szybkością błyskawicy, dopada najbliższego drzewa i z gałęzi wysokiej już parska i fuka gniewnie i ogonkiem puszystym trzepie...

Cóż się stało? Toćże Kazio miał już w rękach wiewiórkę, już ją trzymał i to mocno! Cóż się stało?...

Oto trzeba wam wiedzieć, że wiewiórki mają zębki długie i ostre, jak szpilki, potrafią one nimi zgryźć gruby kawał twardego drzewa — tak, że zeń tylko proch zostanie... Zeby te — to ich najlepsze narzędzie do rozgryzania orzeszków, to także ich broń przed nieprzyjacie-

lem... Doświadczył tej wiewiórczej broni nasz Kazio na swoich palcach: gdy chwycił wiewiórkę rękoma, ta z właściwą sobie zwinnością, wywinęła mu się z dłoni, a tak go ucięła zębami w palce, że chłopiec z bólu puścił natychmiast zwierzątko i z ziemi się zerwał: z dwu palców krew obficie płynęła, skaleczenie było głębokie i znaczne.

Siostry przestraszyły się niemało tą braciszka swojego przygodą; Mania zmoczyła chusteczkę u studni i obwiązała nią zranione palce Kazia, który nie mógł się powstrzymać i choć chłopiec, pobekiwał porządnie z powodu tej swojej biedy, przez wiewiórkę sprawionej.

Na zakończenie trzeba dodać, że za powrotem do domu, w dodatku do wszystkiego złego, jeszcze Kazia porządna bura spotkała, okazało się bowiem, że w swej wojnie z wiewiórką podarł nowe spodeńki na obu kolanach!... Taka to była przygoda Kazia na owej wacycznej wycieczce: wyniosł z niej chłopczyk tę pamiętną nauczkę, że wiewiórkom lepiej dać spokój, bo się one, choć maleńkie, doskonale przed niegrzecznymi swoimi prześladowcami obronić potrafią.





TADEUSZ KOŚCIUSZKO

O KOŚCIUSZCE.

A wiesz ty polskie dziecię kochane,
Kim był dla Polski wielki Kościuszko?
O! Niech to imię, z czią wspomинane,
Na zawsze ci się wryje w serduszko!
To był nasz hetman, — sława tej ziemi
To najdzielniejszy syn twej Ojczyzny,
Co ją piersiami bronił swojemi
I krwawe za nią odnosił blizny.
On to—gdy wróg się znęcał nad nami,
Gdy Macierz — Polskę zbójcy deptali,
Pobił pod wioską Raclawicami
W zwycięskiej bitwie wrażyeh Moskali.
Za to go cały lud nasz tak sławi,
Więc i wy chłopcy — i wy dziewuszki
Czyńcie — jak wasi ojcowie prawi:
Kochajcie—świećcie pamięć Kościuszki!

SEKRET.

Każde z was — dzieci drogie — wie, co to jest sekret, i rozumie, co to znaczy, kiedy się komuś powie: “zachowaj to w sekrecie”, albo “mówię ci to w sekrecie”...

Wiele osób nie umie utrzymać sekretu, co jest podobno nawet dorysę trudne, a szczególnie też słyną z tego małe dziewczynki, lubiące paplać i szczebiotać wiele; o dziewczynkach takich mówimy, że mają one... długie języczki. Ale jednak zdarzają się nawet małe dzieci, umiejące zachować święcie powierzony sobie sekret, a dzieci takie zasługują na pochwałę, i zapowiadają, że kiedyś z nich wyrosną dzielni ludzie, na których zawsze liczyć i polegać można.

O takim to właśnie dzielnem i roztropnem dziecku chcemy Wam dziś opowiedzieć:

W pewnem niewielkiem miasteczku, żyła sobie szczęśliwa rodzina, złożona z rodziców i trojga dźiatwy: Józia, Mani i Helenki. W rodzinie tej zbliżały się właśnie urodziny mamy, które co roku odświeitnie obchodzono. Otóż w przeddzień urodzin tātko, idąc do swego biura, rzekł do najmłodszej córeczki, Helenki:

“Jutro są mamy urodziny, więc musimy jej urządzić jakaś niespodziankę; skoro Józio i Mania poszli już do szkoły, przeto musisz ty, Helenko dopomóc tatusiowi. Idźże do naszego ogrodnika, u którego zwykle kupujemy kwiaty i powiedz mu, aby jutro rano przwstał koniecznie bukiet, który u niego zamówiłem. Ale trzeba, aby bukiet był tu tak wcześnie, by go mama miała już do śniadania; pamiętaj też, Heleniu, że to sekret, żebyś więc nikomu o tem ani słówka nie mówiła i pójdź też do ogrodnika tak, aby się nikt nie domyślił, gdzie i no co idziesz.”

—Dobrze tatusiu! Dobrze!—Zawołała ucieszona Helenka. — Potrafie ja zachować to wszystko w sekrecie i z pewnością sprawię się dobrze.

Ojciec udał się do biura, a Hela pośpieszyła do szkoły, po nauce zaś — zamiast do domu — pobiegła do ogrodnika, aby spełnić polecenie, otrzymane od tātka. Droga wypadła jej koło szkoły, do której chodził brat jej, Józio, który właśnie też wychodził ze szkoły, gdy Helenka koło niej przebiegała.

“Hej, Helu! A gdzie ty tedy idziesz?” — zawołał Józio, ujrzawszy biegnącą szybko Hele: lecz dziewczynka nie odrzekła, tylko dalej pośpiesznie dażyła; wówczas Józio, tembardziej rozciekawiony, pobiegł do siostry, pytając ponownie:

“Co ty tu robisz? Czy cię mama gdzie posłała? Powiedz mi zaraz, bo jak nie, to mamie o tem powiem.”

Helenka przestraszyła się groźbą brata i poczęła myśleć, coby bratu “ciekawskiemu” odpowiedzieć, aby się nie domyślił, gdzie to ona idzie naprawdę i nie wydać powierzonego jej przez ojca sekretu. Ale nim jej mała główka coś wymyśleć zdołała, ujrzała jak tuż przed nią idąca dziewczynka jakaś weszła do składu wiktuałów, znajdującego się obok. Niewiele myśląc, Hela wpadła także do tego składu, a Józio pozostał na ulicy i oddalił się po chwili, myśląc widocznie, że to mama po coś Helę do składu owego posłała.

Tymczasem mała Hela nie wiedziała nawet, co kupować, czego zażądać; usłyszała, że owa dziewczynka, która przed nią weszła, zażądała siemienia za 5 centów, wiecie, takiego siemienia, którem się żywi ptaszki w klatce, więc Hela, niewiele myśląc, kazała sobie także dać siemienia. Na szczęście miała 5 centów przy sobie, zapłaciła, zabrała do kieszeni torebkę z siemieniem i wyszła ze składu. Isć teraz do ogrodnika było już za późno, więc Hela postanowiła pójść tam popołudniu, a sama wróciła do domu mocno zmęczona.

Kiedy weszła do izby, mama widząc ją taką spoconą, rzekła:

“Cóżes się tak zmęczyła Helciu? Wyjmijże chusteczkę i otrzyj twarz.”

Helenka wyjmuje chusteczkę, ale na nieszczęście wraz z chusteczką wysuwa się z kieszeni i owa torebka z siemieniem i rozsypuje się pod nogami zmieszanej dziewczynki.

“A to co?” zawołała zdziwiona matka.

Hela nie wiedziała, co odrzec. Na szczęście przyszła jej z pomocą starsza jej siostrzyczka, Mania, która, widząc pomieszanie siostry, rzekła do mamy.

—Zapewne Hela kupiła siemie dla którejś ze swych koleżanek! Ona zawsze tak robi; za swoje centki niczego nie kupi dla siebie samej, a kupuje różne rzeczy dla tych ubogich dzieci, które nie mają pieniędzy.

“To ładnie, to pocziwe, gdy tak robisz Helciu”, — rzekła mama — “czy i teraz ze siemieniem chciałaś tak postąpić?”

—Tak mamó.—Cicho powiedziała dziewczynka.

Po południu Helcia zaraz darowała siemie jakiejś dziewczynce, która, choć go nie potrzebowała, ale wzięła je, by je w zimie głodnym ptaszkom rozsypać na śniegu. Po nauce Hela ponownie wybrała się do ogrodnika; szczęśliwie przyszła tym razem przed sam jego sklep, lecz gdy już miała wejść do wnętrza, ujrzała przez wielkie okno wystawowe siostrę swą, Manię, która kupowała kwiatki widocznie także na jutrzejszy dla mamy upominek. Hela zaraz przypomniała sobie, że tuż naprzeciwko ogrodnika mieszka krawcowa, która nieraz dla mamy Heli robiła suknie, postanowiła tedy wejść do niej na momencik, by zacząć, aż Mania od ogrodnika odejdzie. Tak też zrobiła: krawcowej nie było w domu, ale jej stara matka przwjęła dziewczynkę i spytała, o co chodzi, czy też mianowicie mama Heli czego nie potrzebuje; więc mała

odrzekła, iż nie tak ważnego nie miała do powiedzenia, a potem pożegnała się pośpiesznie. Mani rzeczywiście u ogrodnika już nie było, zatem Hela weszła i zaraz wyszła śmiało, wykonała ojca polecenie, kazała bukiet nazajutrz wcześniej rano przynieść do ich domu i szczęśliwa, że nikt jej nie widział że powierzony przez tatusia sekret utrzymać zdoła, pędem powróciła do domu, nie mniej zgrzana i zmęczona, jak przed południem.

Mama przestrzegła ją poważnie przed takim uganianiem, ale nie podejrzewała niczego i dziewczynka zajęła się lekcyami swemi, a potem... lalkami.

Nagle aż ścierpła z przerażenia!

Oto usłyszała z drugiego pokoju znajomy głos krawcowej, która przyszła spytać mamy, czego potrzebuje, skoro Helenkę do niej posyłała... Ale mama odrzekła że nie potrzebuje niczego i że wcale nie posyłała Heli, tymczasem krawcowa utrzymywała stanowczo, że Hela była u niej, a nawet rozmawiała z jej matką...

“Helu!—Gdzie Hela?” zawołała mama Helenki.

—Ta Helenka dziwnie się dzisiaj zachowywała—wtracił obecny przy tem Józio—ja ja widziałem dziś po południu, wchodzącą do “grocery” aż koło naszej szkoły! Czy ją mama tam posyłała?

“Do jakiej “grocery”?! Co to wszystko znaczy?” Mówiła mama coraz więcej zdziwiona i już nawet trochę rozniewana. “Helu, chodź tutaj zaraz!”

Ale Hela nie przychodziła. Przestraszona okropnie, nie wiedząc, co odpowiedzieć mamie i jak się tłumaczyć, rzuciła się z płaczem na swoje łóżeczko i tu ją mama po chwili znalazła, kiedy poszła sama jej szukać.

“Co to znaczy? Co ci jest Helenko!?” — pytała mama zaniepokojona, lecz dziewczynka nie nie mówiła, trzęsła się tylko z płaczu i ze strachu. Matka sądząc, że dziecko jest chore, posłała zaraz po doktora, który zbadawszy małą, powiedziała, że ma silną gorączkę i kazał jej leżeć w łóżku, oraz zapisał jej bardzo gorzkie lekarstwo; zaraz je też przyniesiono z apteki i dano biednej Heli do zażywania.

Nareszcie wieczorem przyszedł ojciec do domu i przeraził się nie mało chorobą córeczki; siadł zaraz przy jej łóżeczku i czuwał nad nią troskliwie wraz z resztą rodziny. Hela z ojcem mówić nie mogła, bo wciąż ktoś prócz nich był w pokoju, aż wreszcie zdarzyła się taka uprzejma chwila, że i mama wyszła i Józia i Mani nie było — wówczas Hela co prędzej pochwyciła ojca za szyję i jednym tchem wyszeptwała mu do ucha:

“Tatusiu kochany! Ja wcale nie jestem chora, a tylko nie mogłam inaczej utrzymać w tajemnicy tego sekretu, coś mi go rano powierzył, bo tak się mnie wszyscy wypytywali, że inaczej już sobie poradzić nie umiałam. I po krótko opowiedziała ojcu swe przygody z Józkiem, z siemieniem, z Manią, z krawcową, z mamą i z lekarzem.

Ojciec słysząc tę całą historję zaczął się śmiać tak okropnie, że mama, wchodząc właśnie do pokoju, myślała przez chwile, że i on może dostał gorączki; lecz ojciec powiedział jej tylko, że i sam jest zdrów i Heli nic nie brakuje, a—co to wszystko ma znaczyć, o tem mamusia dowie się jutro...

Więc kiedy nadeszło to jutrr oczekiwane, gdy też przyniesiono w sam czas ów śliczny, wielki bukiet od ogrodnika i dzieci powinszowały już mamie urodzin, wówczas ojciec opowiedział jej wczorajsze—z przy czyny bukietu tego — kłopoty małej Heli. Przyszedł także i lekarz, by zobaczyć, jak się ma "chora," a gdy i on dowiedział się o wszystkim, co zaszło, zdziwił się niemało i rzekł:

"Pierwszy to raz mi się zdarza widzieć tak roztropną i wierną dziewczynkę, która, aby sekretu nie wydać, wołała pójść do łóżka i gorzkie zażywać lekarstwo; temu dziecku można naprawdę zaufać!"

I wszyscy pochwalili małą Helę za jej piękne poświęcenie się dla utrzymania sekretu powierzonego. Miejmy nadzieję, że z małej Heli wyrośnie dzielna, szlachetna, prawdziwa godna ufności i szacunku—Helena.



Wiaderko Węgla.

Pewien pan wieczorem powrócił z biura do domu o wiele później, niż zwykle.

Już u drzwi witały go wesoło dwie jego córeczki i zaraz mu jedna kapelusz z rąk wzięła, druga odebrała zwój gazet i papierów, a obie radośnie i niecierpliwie, znudzone widać oczekiwaniem — szczebiotać poczęły, wypytywać, gdzie to bawił tak długo.

— A czemu tatuś dziś tak późno psychodzi? A czemu? Co? mówiła, szepleniąc troszeczkę, młodsza Kazia.

— Pewnie Tatko miał dużo do roboty, lub musiał coś po drodze załatwić — domyśla się starsza Józia.

— A czemu, a czemu? — słyhać gwarne zapytania.

— Miałem dzisiaj ciężką bardzo pracę — odrzekł tatko nareszcie, zrzuciwszy płaszcz i biorąc swoje pociechy na kolana.

— A co tatuś robił takiego?

— Nosilem węgle.

Zdumienie na obu rumianych, pucółowatych buziach?...

— Co takiego — pyta Józia.

— Węgle tatko nosił? — powtarza zadziwiona Kazia.

— Tak, moje panny, nosilem węgle — mówił tatko — nie długo wprawdzie i nie tyle, wiele ich do nas przywożą i przynoszą, aby nam było ciepło w pomieszkaniu, ale zawsze zdarzyło mi się to, że trzeba było ponieść wiadro węgla i to mię właśnie zatrzymało w drodze do domu, powodując opóźnienie.

— No, ale jak się to stało? Jak to być mogło?

— Opowiedz nam, tatusiu.

— Opowiem chętnie, a wy grzecznie posłuchajcie.

— Słuchamy. —

—Wracając tedy do domu—zaczął ojciec opowieść—wypadło mi czekać na tramwaj niedaleko biura mojego: stoję i czekam i patrzę po ludziach, idących w tę i ową stronę. Opodal bawiła się gromadka dzieci,

wrzawą wesołą napełniających całą ulicę. Patrzyłem na maleców i słu-chałem ich rozmowy: sprzeczali się właśnie o to, kto kogo złapał i kto kogo ma ścigać. Nagle któreś z dzieci zawołało:

— A, otóż Hania idzie; Hania musi uciekać; wszyscy Hanię łapać będziemy!...

— Zwróciłem się w drugą stronę i ujrzałem małą, może sześćiolet-nią dziewczynkę, stojącą obok sporego wiadra, napełnionego wę-głami. Dziecko, widać zmęczone, odychało, tchu prawie złapać nie mo-gło, tak, że kiedy ją tamte obskoczyły, wzywając do zabawy, długo nie odpydydała, a po chwili dopiero rzekła:

— Nie mogę się bawić z wami, muszę zanieść te węgle do domu, bo mię mama po nie posłała; mama chora, leży w łóżku i wstać sama nie może, a trzeba w piecu na wieczór zapalić, bo będzie zimno.

I choć jej oczka młode śmiały się do zabawy — zabrała się bieda-ctwo, odpocząwszy chwilę — napowrót do swoich węgli.

Patrzyłem, co będzie dalej, ciekawy, jak też sobie takie maleństwo radzić będzie ze sporem i wcale ciężkiem wiadrem węgli... A dziew-czynka w obie rączyny ujęła półkolistą rękojesć wiadra i z widocznem natężeniem całego drobnego swego ciała dzwigać zaczęła; przystawa-ła co dwa, co trzy kroki i rączki małe biedne rozcierała i znowu wiadro chwytła i niosła dalej.

— Józiu — rzekł ojciec, przerywając opowiadanie — czy wiesz, ja-kie jest ciężko wiadro węgli? próbowałaś kiedy?

— Nie, tatusiu.

— Podejdźże do pieca, gdzie widzę pełne wiaderko i podnieś je.—

Dziewczynka usłuchała i ledwie z natężeniem podniosła wiadro, ale postąpić z niem nie mogła ani kroku.

— Widzisz, dziecko moje, — jakie to ciężkie? A owa biedna Hania takie wiadro i może cięższe jeszcze daleko ulicą nieść musiała? Widzi-cie, jak się to maleństwo, nie starsze od was, namęczyło?... Słuchaj-cieże dalej. Patrzę więc na Hanię widzę, że zamierza tuż opodal zejść z chodnika, aby widocznie przejść na drugą stronę ulicy: postawiła wia-dro i zeszła wprzód sama ze stopnia. ...Pobiegłem do dziecka i w oba-wie, by się nie uszkodziło, lub nie upadło razem z węglami, wziąłem Hanię za jedną rękę, a drugą ująłem wiadro z węglami i z taką paradą przeprowadziłem dziewczynkę przez ulicę.

Zrazu złąkała się obcego człowieka, a może i myślała, że jej chcę wę-gle zabrać...

— Nie bój się, malutka — rzekłem do niej — ja ci nie zabiorę wę-gli, chcę ci pomódz tylko; pokaż mi, gdzie mieszkacie, a ja ci węgle zaniosę do domu.

Hania odpowiadała nieśmiało i wstydliwie pokazała dom, opodal stojący, do któregośmy się też skierowali; rychło za nami skupiła się

gromadka dzieci, co się przedtem w łapankę bawiły, a tak szedłem do domu Hania niezwyklej procesyi, że się aż za nami przechodnie oglądali.

Rodzice Hani mieszkali na drugim piętrze. Doprawdy nie rozumiem, jakby się była dziecina wydrapała z wiadrem węgla na piętro! Po chwili wszedłem z Hanią i z węglami do izby: porządek tu i schludność widać było, choć bez oznak zamożności; w przylegającej do kuchni sypialni leżała w łóżku chora matka Hani, której opowiedziałem, w jaki sposób zawarłem znajomość z jej córeczką. Kobieta zaczęła mi dziękować i tłumaczyła, że todziewczynka sama napała się pójść po węgle, by matkę chorą wyrezyć.

— Nie uwierz Pan łaskawy — mówiła — co mam za pomoc z tego maleństwa! Ot choroba mię trapi, a ona już i izbę zamiecie i statki pomyje, nawet ojcu strawę do ognia przystawi. Dziś nam węgli zabrakło: sama zwlec się po nie nie mogłam i myślałam zaczekać aż mąż powróci od roboty — ino go nie widać — toby węgli przyniósł; ale Hania napała się iść po węgle, bo to mówiła piec wygaśnie, w izbie będzie zimno i mama gorzej się zaziębi... Dziecina moja najśłodsza!

To mówiąc tuliła do piersi chora matka uradowaną z pochwały córeczkę.

— Patrzyłem na tę scenę ze wzruszeniem... Wtem otworzyły się drzwi i powrócił ojciec Hani do domu. Zapoznaliśmy się, przywitani i pożegnani — bo mi też trzeba było do domu pośpieszać, więc zostawiłem ich tam sobie samych: rodziców, radujących się dobrem dziecięciem i Hanię uszczęśliwioną a wesołą pochwałami i pieścizotami tatka i mamy swojej!

Taką — widzicie — jest historia mojego dzisiejszego noszenia węgla i przyczyna spóźnienia — kończył tatko historię — opowiedziałem ją wam dlatego, abyście, drogie dzieci wiedziały, że jest wiele dzieci na świecie, którym życie od wczesnej młodości wśród pracy płynie, często ciężkiej, nieraz za ciężkiej na ich siły.

Nadto bierzcie sobie przykład z dobrej Hani, która nie wahała się podjąć robotę, przechodzącą jej wątłe siły, aby mamę swą chorą wyrezyć i zdrowia jej bronić.



MALI OGRODNICY.

Niemasz to niemasz —
jak cudna Wiosenka!

Kiedy ona na świat nam
zawita, to cała ziemia
wokóło wydaje się jakaś
piękniejsza, jakaś taka
strojna, świeża, a taka ra-
dosna!

Rozwijają się drzewa i
roślinki wszelakie kwitną
już, ledwie śnieg zniknie,
już z czarnej jeszcze ziemi
wychylają do słońka białe
i jasno-żółte główki... Mu-
rawa poczyna się stroić
świeżą zielenią, a drzewek
gałązki okrywają się mło-
dymi ślicznymi pączkami i kвітkami, zwanymi "bazią."

Na wiosnę żywa wre czynność po parkach, ogrodach i na polach:
ludzie sadzą kwiaty, warzywa, czyli jarzyny rozmaite, zakładają kłom-
by i grządki, czyszczą trawniki i porządkują ścieżki.

Ot właśnie na załączonym obrazku widzicie dwoje dzieci, braciszka
Edzia ze siostrzyczką Ludwisią, jak sobie oboje sadzą drzewko w ogro-
dzie koło domu rodziców.

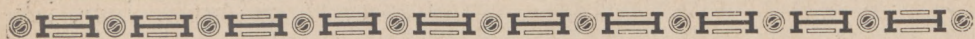
A nie łatwa to sprawa, zasadzić taką drzewinę, więc Edzio z Lud-
wisią napracowali się porządnie, choć pewnie wcale tego nie żałują, bo
czas im zeszedł mile i pożytecznie. Naprzód łopatką wykopali dołek,
dość głęboki i obszerny, później weń włożyli drzewko, uważając, by się
korzenie jego nie połamały, a następnie przysypali ziemią korzenie w
dółku umieszczone, ubili i udeptali ziemię dokoła drzewka, poczem
wetknęli w ziemię tuż koło drzewka kijek, dość wysoki i drzewko ły-
kiem do kija przywiązali, aby wicher go nie obalił. Wreszcie podlali
drzewinę, by miała dość wilgoci u korzenia i — robotą ukończoną...

Na obrazku naszym widzicie, jak Ludwisia przyniosła właśnie wodę
w polewaczce i ma podlewać drzewko; czeka tylko, by się usunął Edzio,
który właśnie przywiązuje drzewko do kija; siostrzyczka dlatego cze-
ka z podlewaniem, aby bratu nie polać bucików i pończoszek, bo i mama
pewnieby się za to pogniewała, no i katar mógłby być z takiego figla!...

Dużo drzewek młodych w ten sposób dzieci zasadziły pomagając
rodzicom i ozdobić ogródek koło domu. Z czasem, z biegiem lat drzew-
ka te wyrosną; rozrosną się i będą dawać miły cień, w którym człek
chroni się tak chętnie w dni upalne — letnie, będą też wydawać smacz-
ne owoce, jak jabłuszka, gruszcзки, śliwki i wisienki, — na które już
wam wszystkim — mali Czytelnicy — pewnie ślinka idzie!

Lubicie owoce? Ochroniajcież i szanujcie drzewa: nie psujcie ich!





Ciała Stałe, Płynne i Lotne.

(Pogadanka wesoła pouczająca).

Tatko siedział w ogródku z córeczkami: było to wieczorem, skończono właśnie polewanie grządek i trawy, przyczem i paniąkom dostało się porządne pokropienie, z czego mówiąc prawdę—bardzo były rade. Po tej wesołej robocie usiedli sobie i odpoczywali, rozmawiając.

Starsze dziewczynki, Zosia i Irenka, usiadły obok ojca, na swoich małych krzeselkach, najmłodsza, Alinka usadowiła się u Tatka na kolanach i tak we czworo gawędzili, przegradzając słowa figlami i pieszczotą.

Wśród rozmowy zapadł wieczór i powoli zaczęły się na niebie pokazywać gwiazdy, zrazu blade i—jakby przez gazy zastłonę świecące, później coraz jaśniej, coraz świetniej lśniące na niebios nieschmurzonych błękitach.

Najstarsza z córeczek, Zosia, patrzyła chwileczkę ku górze, potem rzekła z westchnieniem, wskazując na wspaniałą Gwiazdkę Wieczorną:

— Hej, jak też to daleko, jak daleko, Tatusiu, ta śliczna, wielka gwiazda być musi? A tak cicho, spokojnie na niebie sobie stoi, jak gdyby jaka wprawiona, umocowana na tych cudnych, niebieskich obłoczkach.

— Albo — jakby była psysyta! — powiedziała młodsza Irenka.

Dzieci patrzyły ku gwiazdzie, wskazując na nią paluszkami, nawet malutka Ala łebek podniosła ku górze, niby rozumiejąc, o co chodzi.



— Gwiazdy, moje córeczki — nie są na niebie ani wprawione, jak szyba w okno, ani przyszyte, jak guziczki przy sukni — ale są one w ciągłym ruchu, wciąż krążą, jak wszystkie wogóle ciała niebieskie.

— A któredy one krążą Tatusiu? — spytała żywo Irenka.

— Po drogach, które im raz na zawsze Pan Bóg wytknął i dla nich ustanowił. Jakie to te drogi, to o tem uczyć się będziecie, gdy podrośniecie; wtedy też i pojmiecie rzecz tę dokładnie. Na teraz dość dla was, jeśli zapamiętacie, że gwiazdy i słońce i księżyc i ziemia nasza i wszystkie wogóle ciała niebieskie — nieustannie krążą w przestworzach.

— Mój Tatusiu! — rzecze na to Zosia — już drugi raz powiada Tatko "ciała niebieskie", co to znaczy? Czy są na niebie jakie ciała?

— Takie, jak nasze, co śpią, jedzą, biegają i bawią się — na niebie? — dodała Irenka.

Roześmieli się wszyscy tego domysłu Irenki.

— Nie moje dzieci, — rzecze tato — ciała niebieskie zbudowane są mniej więcej na podobieństwo naszej ziemi: mogą być od niej mniejsze, lub większe o tem też się później dowiecie, gdy się o ich ruchach i krążeniach będziecie uczyły — ciałami zaś wogóle nazywamy wszystko, co tylko widzimy dokoła siebie, co pod nasze oczy podpada: nie o takich zatem mówię ciałkach, jak wasze, co to je dobrze wykarmia Mamusia, a wy jej z całej siły pomagacie łakotkami! Ciała w powszechnem tego słowa znaczeniu — to wszystko, co jest na świecie, od najmniejszego pyłu aż do tych olbrzymich ciał niebieskich, o których co dopiero mówiliśmy.

— Jak to, Tatusiu? To i ta woda, którą polewaliśmy ogródek, jest ciałem? — pyta Zosia.

— "I ten dym, co z komina ucieka tak prędko — dodaje Irenka...

— Tak. I woda i dym są także ciałami, tak je właśnie nazywa nauka. Zapamiętajcie sobie, że wszystkie ciała, wszystkie, jakie tylko są na świecie Bożym, dzielą się na trzy grupy, jakby trzy wielkie gromady, a mianowicie: pierwsze — ciała **stałe**, drugie — ciała **płynne**, trzecie — ciała **lotne**.

— A cóż to znowu znaczy, proszę Tatka? — rzecze Zosia.

— Ja tego nie rozumiem! To jakieś dla mnie za trudne! głośno myśli Irenka.

— Poczekaj troszkę; zaraz zrozumiesz, bo to i nie trudnego i każde dziecko zapamiętać to może, jeśli chce tylko uważać przez chwilę.

— Już — już słuchamy, Tatusiu!

— Otóż widzicie, — ciała stałe są takie, które mają swój własny kształt i pewną objętość, choćby jak najmniejszą, choćby taką tylko, jak ten pyłek z kwiatka żółciutki, albo na przykład ten proch na ulicy, co się z błota robi, gdy ulic nie polewają, a który tak jest lekki, że i najślabszy wiaterek niesie go w powietrzu; więc są ciałami stałymi: zie-

nia nasza, domy, drzewa, sprzęty, naczynia, zwierzęta i wogóle wszystkie rzeczy, które można ująć, które mają jakiś kształt. Rozumiecie?

— Doskonale!

— No, a teraz płynne? —

— Płynne ciała to znowu takie, które — jak sama ich nazwa wskazuje — płyną, albo ciekną; nie mają też one swojego kształtu, ale przyjmują taki kształt, jak naczynie, do którego je wlejemy. Na przykład mleko jest ciałem płynnym, bo samo rozlewa się po stole i aby je utrzymać, trzeba je wlać do szklanki, albo do garnuszka; dalej ciałem płynnym jest atrament, jest wodą, bo płynie...

— I ryba!... z mądrą minką zawołała Irenka.

Ojciec rozśmiał się serdecznie!

— A przecież ryba płynie!...

— Nie, Irenko; ryba choć pływa, nie jest ciałem płynnym, ale stałym, bo ma własne ciało i kości i waży nieraz bardzo wiele!

— A — tak, prawda, prawda! No, ale w takim razie i motyl i mucha są też ciałami stałymi, chociaż wysoko latają?

— Naturalnie. Bo mają własny kształt i pewną jakąś wagę. A lotne ciała to nietylko, że kształtu nie mają swojego, ale i własnej nie mają objętości i trzeba je dobrze zamknąć w naczyniu jakimś, aby zeń nie uleciały. Na przykład: ciałem lotnym jest powietrze, jest dym, jest niem gaz, ten, którym świecimy i ten, który jest zawarty w owych balonikach, czerwonych i błękitnych, które wam Mama nieraz w parku kupowała; ale rozumiecie: to nie baloniki są lotne, prawda? tylko ten gaz, w nich zamknięty, a baloniki same, czyli ta ich skóreczka, z gumy zrobiona, jest ciałem...

— Stałym! — podchwyciła Zosia. Ja to już rozumiem doskonale! A ty Irenko? —

O, ja także rozumiem! Myślisz, że tylko ty? Tylko, jabym wolała jeszcze taki balonik dostać, tobym jeszcze lepiej rozumiała'...

— Dostaniesz go, jeśli będziesz grzeczna.

— No, ale teraz spać dzieci: zagadaliśmy się długo o tych ciałach rozmaitych i pora już na spoczynek. Powiedźcie dobranoc Mamie i Tatkowi, tym gwiazdkom, co nas na tę dzisiejszą naprowadziły pogawędkę i marsz do łóżeczek! A nie zapomnijcie się pięknie pomodlić do Bozi, za zdrowy dzionek podziękować!

Poszły dziewczątka spać ochoczo; malutka Ala dawno już na kolanach ojca drzemała...

Rozmowę tę ojca z córeczkami spisaliśmy ku waszej rozrywce i nauce: może kto z was, dziateczki, zapamięta sobie z tego, co to są ciała stałe, płynne i lotne, by też nie powiedział tak, jak mała Irenka, że ryba jest ciałem... płynnym...



Nieszczęśliwa Przygoda Smyczka.

Pamiętacie, dziecieczki, żeśmy wam w powiastkach naszych wspominali o piesku, Smyczku, co to jest u pewnych państwa, w owej rodzinie, gdzie także są dwie małe dziewczynki: Antosia i Anusia. Przypominacie sobie też, że Smyczek lubi słodycze tak bardzo, iż nieraz dzieciom cukierki i łakotki wykrada... A pamiętacie, jak to Smyk na gwiazdkę choinkę przewrócił, gdy z niej cukierki — wisus — ściągał?!... Pamiętacie?...

Otóż trzeba wam, mali przyjaciele, wiedzieć, że nasz Smyk, oprócz łakomstwa, ma jeszcze jedną przywarę: jest on okrutnie napastliwy. Kiedy go się wypuści na ulicę, to nie da nikomu przejść spokojnie: na wszystkich szeczeka, ujada, to za tym, to za owym goni!

Nie robi on tego ze złości, bo nie jest to piesek złośliwy, a kęsze i gryzie tylko, gdy mu ktoś obcy dokucza; swojego zaś nie ugryzłby za nic w świecie i dziewczynkom swoim nie zrobiłby krzywdy, ale w każdym razie bez kagańca nie można go wypuszczać na ulicę, boby biedy narobił, a i tak hałasu i krzyku zawsze co niemiara, gdy Smyczek na dworze.

Szczególniej lubi on napadać na przejeżdżające wozy. Tenże sam zwyczaj mają już wszystkie pieski, ale Smyk, pod tym względem nie da się żadnemu swemu psiemu towarzyszowi wyprzedzić. Na każdy wóz, każdy automobil, na każdy tramwaj nawet, rzuca się i biega z nimi, ujadając, a niejednokrotnie udało mu się nastraszyć, lub i spłoszyć jakiegoś cichego i spokojnego konika.

Znamy pewnych chłopców — niezbyt mądrych, co podobnie czynią i również nie mogą wytrzymać, by za wozami przejeżdżającymi nie gonić, lub nawet nie wskakiwać na nie, czepiając się z tyłu wozów i narażając się przez to na okaleczenie, na kalectwo lub nawet na śmierć okropną!... Chłopcy powinni by o tem wiedzieć, bo mają rozum, czego właśnie brakuje naszemu Smykowi i dlatego spotkała go następująca przygoda:

Przed kilku dniami wypuszczono Smyka przed dom, na ulicę, ażeby sobie troszkę pobiegał. Było to po południu. Antosia i Anusia jeździły na kółkowych łyżwach po chodniku, a Smyk swoim zwyczajem napadał na przejeżdżające wozy.

Jechał właśnie wóz węglarza i piesek zaczął doskakiwać do konia; wtem z przeciwnej strony nadjechał duży automobil, a gdy się Smyk

i ku niemu zwrócił, dostał się między wóz węglarski a automobil w chwili, kiedy się mijaly; że zaś nie miał dość miejsca, by na bok uskokczyć, wpadł biedak pod koła szybko pędzącego samochodu, z pod którego nagle rozległ się po całej ulicy przeraźliwy kwik i skomlenie: “kii, kii, kii”!...

Dzieci na chodniku zmartwiały z przerażenia, widząc, co się dzieje; przechodnie zatrzymali się na ulicy i wszyscy byli pewni, że — już po psie!....

Ale kiedy samochód przemknął dalej, patrzy, aż tu Smyk, skomląc i piszcząc, gramoli się z ulicy i na dwóch nóżkach, z ogonkiem pod siebie schowanym, jakby ukropem zlany, zmyka do domu!...

Dziewczatka, płacząc, za nim pośpieszyły i razem z mamą skupiły się nad pieskiem; oglądając, co mu się stało: okazało się, że automobil przejechał Smykowi obie nogi, przednia i tylną! Na szczęście, żadna z nich nie została złamaną, ale obie uległy okropnemu zgnieceniu, a nawet w wielu miejscach skóra z nóg została odarta.

Smyk cicho skomlał, wystraszony i zbolaty, dziewczynki płakały nad nim żałośnie.

Przyszedł tatko, pieska pokaleczonego ogladnął, łapki mu powyciągał i przekonał się, że kości nie są połamane. Potem poszedł do apteki, kunił tam gojącej maści i nowróciwszy, obmył pieskowi skaleczone miejsca, posmarował je maścią i owiązał szmatkami, w czem wszystkim gorliwie pomagały obie dziewczynki. rozezulając się nad swoim towarzyszem zabawy, który z wdzięcznością lizał ich rece, jakby wiedział i rozumiał, bo też i naprawdę rozumieć to musiał, że mu się dobrze robi.

Później położono Smyczka na kanapie, a mała Irenka siadła koło niego i zaczęła mu opowiadać bajki, pamiętając, że i jej mamusia bajki opowiadała, kiedy raz przez parę dni, z powodu jakiejś słabości, musiała w łóżeczku poleżeć.

Smyk był przez kilka dni dobrze chory i chodził tylko na dwu lewych łapkach, ale po kilku dniach spuścił na ziemię tylną prawą nóżkę i odtąd chodził na trzech; czwarta bolała go najdłużej, ale i ona mu w końcu wyzdrowiała.

Z tej przygody, z której Smyczek tylko szczęśliwym trafem z życiem wyszedł, bo niema wadliwości, że samochód mógł go na miejscu zabić, psina wniosła naukę dobrą! Zmądrzał Smyk bardzo i już tak nie dokazuje na ulicy, a przed automobilem z daleka ucieka!....

Oby podobnie zmądrzeli i ci chłopcy, co się to wozów i tramwajów bezmyślnie czepiają, doskakując do nich, jak Smyczek... Dajcie, chłopcy, pokój takiej zabawie, żeby was nie spotkało to, co się Smykowi wydarzyło!

Gospodarstwo.

Wiecie zapewne, dzieci, co to jest gospodarstwo?

Przypomniemy wam: gospodarstwem nazywamy urządzenie i utrzymanie domu naszego: więc n. p. gospodarstwem farmera są jego pola, jego narzędzia rolnicze i zwierzęta domowe — gospodarstwem gospodyni w mieście — może n. p. matysi niejednego z was, mali przyjaciele — są sprzęty domowe, statki, czyli naczynia kuchenne, a czasem także kurki i kureczęta, trzymane w kojcu, lub na podwórzu; — niekiedy i was, dzieci, mama żartobliwie nazywa “swojem gospodarstwem.”

Otóż pewien pan miał dwie kilkoletnie córeczki Manię i Stasię, które mają także “swoje gospodarstwo” i o niem wam pragniemy właśnie opowiedzieć.

Niewielkież to gospodarstwo, bo i gosposie jeszcze małe, jak to się mówi. ledwie co od ziemi odrosłe, jeszcze nawet do szkoły nie chodzą, jakkolwiek mama obie uczy czytania i początków pisania tak, że nawet młodsza ume już napisać “i” — jak bat dorożkarski, a “c” — podobne do haczka do węgla!...

Niewielkie więc gospodarstwo tych małych dziewczeczek, ale ciekawe, zwłaszcza dla was — dzieci. Słuchajcież:

Naprzód musicie wiedzieć, że do gospodarstwa tego należy już cała familia i to nawet bardzo liczna. O, bo dziewczynki każda jest już mama! A jakże — a każdej dzieci stanowi ćwierć tuzina lalek rozmaitej wielkości, jakości gatunku, koloru włosów, oczek itp.! Każda ma tedy po trzy córeczki-laleczki, które im wiele zajmują czasu i wiele sprawiają kłopotu; jak to z dziećmi; wiecie przecież: to przebierać, to myć, to czesać, to prać dla nich, to szwyc i krajać szmatki na sukienki: o, pracy z tem niemało! Jak to z dziećmi... a jakże! Lalki owe, czyli córki onych dziewczynek akurat tyle dają zajęcia swoim “mamom”, co same dziewczynki swojej mamusi zajmują czasu w ciągu dnia każdego....

Lalki te są zawsze grzeczne i gdy się ich nie rusza, to siedzą cicho, poważnie, spokojnie — ani pisną; Mania i Stasia są także grzeczne — zazwyczaj... tylko hałasu potrafią narobić “trochę” więcej, niż ich córki-laleczki.

Otóż, jak wam powiedzieliśmy, każda posiada tych lalek trzy: najstarsza i największa, która jeździ w sporym wózku żelaznym, obitym skórą, dalej średnia i najmłodsza, najmniejsza; te śpią w łóżeczkach, w którychby najstarsza się już nie zmieściła. Oprócz łóżeczek, lalki

mają i inne potrzebne sprzęty i meble, jak fotele, stoliki, szafki, kuferki, nawet kolebaczki; mają także swoje naczynka, talerzyki, garnuszki, filiżanki itp. — no — bo na czemżeby jadały i z czego by piły...

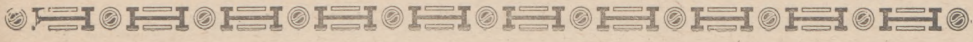
Możecie sobie wyobrazić, najmilszy Czytelniczy, co to z tem wszystkim roboty! Naczynie myć, wśród mebli sprzątać, raz po raz "mieszkanie" lalek przestawiać i przeprowadzać na wózkach z jednego kąta do drugiego, albo i z pokoju do pokoju! Więc, jak dzień długi, zajęte są panienci i takie są biedaczki! zapracowane, że za ledwie chwilę czasu znaleźć mogą, aby z mamą swoją zaglądnąć do elementarza, albo pobiedzić się z ołówkiem w zeszytiku... Taki to już los zapewne wszystkich dzieci! Wy z pewnością też byście coś o tem miały do powiedzenia! Nieprawdaż?

Oprócz tej "lalczyńskiej" rodziny i jej sprzętów rozmaitych, posiadają Mania i Stasia także i zwierzęta domowe; a jakże! Jest tam więc parę zajęczków i kotków z waty i ze szmatek zrobionych — jest osioł z nadkreconym już nieco łbem, ale jeszcze umiemy porykiwać tak żałośnie, jakby się na swój łebek właśnie skarżył, — jest kogut i kura i kurczątek kilka, wszystko z waty i szmatek, wszystko bardzo w "gospodarstwie" potrzebne i pożyteczne. Mają też te zwierzątka nawet swoją stajenkę w jakimś kącie, ale na noc najczęściej zabiera je młodsza siostrzyczka Stasia do swojego łóżeczka i obłożwszy się całą tą menażeryą, zasypia z nią razem, a nie da jej sobie odebrać, bo powiada, że zwierzątkom twardo byłoby spać przecie na podłodze! I ma słuszość — oczywiście... Dopiero kiedy mała zaśnie, mama po cichu wyławia z jej łóżeczka wszystkie kurki i kotki i stawia je do kąta.

Ważniejszemi od tych zwierzątek szmacianych i drewnianych są zwierzątka żywe, — których również nie braknie w tem "gospodarstwie." Należą tutaj: piesek, kanarek i cztery złote rybki, dawniej był jeszcze i kotek, ale został skazany na wygnanie od czasu, jak okazał zbyt wielką ochotę bliskiego zapoznania się z kanarkiem.

Piesek — nazywa się Maciuś; jest on niezbyt duży, kudłaty i okropnie wesoły!... Całemi godzinami bawiłby się z dziewczynkami, ściga się z niemi, doskakuje do warkoczyków, udaje, że kasa, wyszczekuje, napada; a cukierki filut lubi, że aż ha! Gdy tylko dzieci dostaną łąkoci jakich, już piesek przy nich, już zweszył, a w oczy im patrzy, a ogonem kiwa i prosi, żeby i jemu choć odrobinke udzielić. Maciuś jest nawet aż nadto łąkocym na łąkocie, co jest bardzo nie ładnie i w czem go dzieci naśladować nie powinny; lubi on mianowicie owoce, a zauważył że kanarkowi czasem podaje się kawałeczek jabłka do klatki; otóż ile razy klatka z ptaszkiem stoi na oknie, do którego pies, stanawszy na tylnych łankach, dostać się może, to już Maciuś zaraz zagląda do kanarka i wspiąwszy się doń, szuka jabłuszka... Poczciwy kanarek nie płoszy się nawet, tak się do tych psich wizyt przzwyczaił — więc tylko z respektem patrzy na psa czarnemi, jak paciórki oczkami i czeka cierpliwie na nowy kawałek jabłka.

Kanarka tego nazwał dziewczynki "Pitiusiem" — śliczne imię; nieprawdaż?... Ma on całe prawie upierzenie żółciutkie, a tylko na



skrzydełkach widać parę szarych piórek. Cudnie śpiewa ta nasza ptaszyna, która też cieszy się łaską szczególniejszą wszystkich domowników. Starsza dziewczynka Mania co rano daje kanarkowi wody i ziarna, a otwierając klatkę, uważa, aby ptaszek nie wyfrunął.

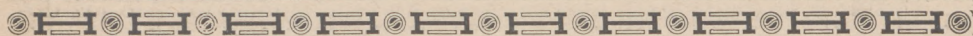
Razu jednego Mania chciała wziąć kanarka do ręki, aby się nim nacieszyć i popieścić go — chwyciła go więc lekko rączką, ale kanarek się szarpnął wystraszony, a że to był właśnie czas pierzenia się jego, czyli wypadania piórek, przeto... ogonek kanarka został w ręku dziewczynki, a ptaszek skoczył na szczeble klatki: widocznie piórka w ogonku były osłabione już i same byłyby pewnie wypadły, ale Mania przerażała się nie mało i napłakała niemało — patrząc na kusego kanarka, któremu swoją drogą po kilku tygodniach odrósł urwany ogonek jeszcze piękniejszy, niż był przedtem.

Ostatnim nabytkiem w “gospodarstwie” tych panienek są dwa małe słoiczki, a w każdym z nich znajdują się po dwie złote rybki; upodobały sobie dzieci te stworzonka, więc mama kupiła każdej po 2 rybki jednego takiego dnia szczęśliwego, w którym lekeva czytania i pisania u obu “panien” szczególnym zbiegiem okoliczności wypadła lepiej, niż zwykle.

Złote rybki to bardzo miłe, maluchne stworzonka; cały dzień krecą się w swoich słoiczkach; raz na dzień daje im się po odrobinie opłatka — to całe ich pożywienie!... Dzieci cieszyły się nimi i szczególnie ciekawe były na odmienianie wody rybkom, które wstawiano drobnem sitkiem; rybki podskakiwały i rzucały się niecierpliwie, nim się je znów włożyło do wody, co trzeba jednak było robić szybko i zręcznie, aby delikatnych tych stworzonek nie uszkodzić.

Oto pokrótce spisane “gospodarstwo” Mani i Stasi. Czy Wam się podoba moi mili, mali Przyjaciele?





Rozmowa Dwu Dziewczynek.

Zosia: Wiesz Lusi, dzisiaj mieliśmy prawdziwie ciekawy i śmieszny dzień w szkole! Wyobraź sobie, Sabcia Wiercińska, w czasie lekcji jabłko gryzła, więc Siostra Nauczycielka "przeprowadziła" ją za karę do następnej ławki, a chłopcy, śmiejąc się, pomrukiwali: "muwingdej", "muwingdej" — Sabina ma "muwingdej"!



A wiesz — ja zapomniałam książkę, więc Siostra kazała mi usiąść na miejscu Sabki, koło tej drugiej psotnicy — Truskowskiej. Sabina tam pozostawiła swe jabłko nadgryzione: Truskowska koniecznie chciała zjeść to jabłko, ale i mnie apetyt na nie przyszedł, więc jej poradziłam, abyśmy się podzieliły, że zaś nie było nożem przekroić jabłka, więc powiedziałam, że je szpilką od włosów przepiłuję. I tak się stało...

Lusia: Smacznego apetytu, już jabym tego jabłka do buzi nie wzięła.

Zosia: Dlaczego? Przecież to była moja własna — rodzona szpilka!

Lusia: No, no, i cóż dalej było?

Zosia: Jakiś więc to jabłko zjadły, które nam bardzo smakowało, Truskowska koniecznie chciała zrobić "muzykę", aby nam się w ławce nie nudziło; wzięłyśmy stare pióra do pisania, połamałyśmy je, powpinały do krawędzi ławki, — i Truskowska, która jest prawdziwy majster do takich sprawek, zaczęła stroić ten nowy instrument, mówiąc, że będzie grała na skrzypcach.

Lusia: A to ci dopiero! I cóż Siostra na to?

Zosia: Bardzo smutno skończył się ten koncert, Siostra usłyszała te bzykania, po cichu podeszła, chwilę się przysłuchiwała i w końcu zapytała Truskowskiej, na jaką nutę zamysła grać; potem poprosiła ją, by przeprowadziła się o "blok dalej" i usiadła obok Sabiny, albo jeszcze dalej na stopniu katedry, gdzie będzie mogła zupełnie spokojnie oddać się swoim zdolnościom muzycznym, a nawet może komponować całe dzieła muzyczne. Dzień ten z powodu tylu ważnych zajęć, zmian i tylu przeprowadzek nazwaliśmy "Grand moving-day"!

Lusia: A to doskonale; dobrze, że się na tem skończyło! Ale już dosyć o tym "muwingdeju." Teraz, moja Zosiu, możebyśmy się zabawiły tak, jak to tego wieczora, gdy Mama się z nas śmiała, jakieśmy się w popis bawiły. Dobrze?

Zosia: A dobrze!

Lusia: Ale uważasz, tak całkiem poważnie musimy to dzisiaj zrobić, bo tyś się wtedy gniewała, że ja nie dość z uszanowaniem tobie się kłaniałam. Siadaj do fortepianu, weź akord i powiedz: raz, dwa, trzy, a zobaczysz, jak ja się tobie ładnie uklonię.

Zosia: Doskonale, bardzo dobrze, siadam do fortepianu, ale pamiętaj, byś się taktu trzymała!

Lusia: Już ja to dobrze zrobię, zaczynaj grać.

Zosia: Zaczynam. Raz, dwa, trzy.

(Zosia gra, Lusia śmiesznie składa jej trzykrotny ukłon i przewraca się).

Zosia: E, kiedy ty zawsze swoje! Znowu psocisz! Ja się z tobą nie chcę bawić.

Lusia: Ouwa, to się obejdzie! Ja nie dbam!

Zosia: Ja także. Ty zawsze musisz jakieś głupstwa stroić; z tobą nie można się poważnie bawić.

Lusia: To się nie baw! Jaka mi wielka dama! Myślisz może, że mi idzie o zabawę z tobą.

Zosia: Nie chcesz, no to nie.

(Pauza. Obie zajęte swemi robótkami, ale z pod oka spoglądają na się).

Lusia: (po chwili). E, wiesz co, dajmy lepiej spokój tej kłótni! przepraszam cie, Zosiu, bom młodsza. Ty wiesz, że ja tak czasem lubię trochę pofiglować, najwięcej wtedy, gdy się same bawimy. No, zgoda — nie gniewaj się już na mnie! (Całują się). Dobrze?

Zosia: Ja się nie gniewam; tylko powinnaś, Lusi, o tem pamiętać, że jestem już przecie w trzeciej klasie, więc mnie nie wypada takie dziecinne figle w zabawie wyprawiać.

Lusia: No, już dobrze... Ale się już nie chmurz na mnie!

Zosia: Nie. (Całują się).

Lusia: No, to porozmawiajmy jeszcze trochę. Czekał: mówiła mi jedna moja koleżanka, jak raz swojej mamie wyszyła na imieniny śliczne pantofle, a swemu tatkowi wyhaftowała pokrowiec na nieprzemakalną laskę.

Zosia: Nieprzemakalną laskę! Hahaha! A to concept!

Lusia: Nieprawda, doskonały!

Zosia: A wiesz, kiedy u nas raz w klasie było zimno, przyszła właśnie Siostra Przełożona i widząc, że się dzieci kulą — powiedziała: "Oj,

coś dzisiaj zaspal ten nasz "dzanytor", muszę ja pójść sama w piecu palić!"...

Lusia: Haha! — To śmieszne, żeby Siostra Przełożona sama w piecu paliła.

Zosia: No, ale ona przecie naprawdę nie szturkała sama w piecu, tylko to znaczyło, że musi "dzanytora" dopilnować.

Lusia: Pewnie, że tak ale, jak ty pięknie mówisz, "dzanytora" — jakby to tatko usłyszał, zarazbyś burę dostała.

Zosia: No, a jak inaczej? Co?

Lusia: Nie mówi się "dzanyter" tylko "ondzajner"....

Zosia: A, to jeszcze lepiej! Nie kijem — to pałką! Przecie "endzajner" — to też nie po polsku.

Lusia: Prawda. Jakże tedy?

Zosia: Wiesz co — zapytajmy o to tego pana co układa "Podarek Nowy".

Lusia: Doskonale! Napiżmy do niego, prosząc o radę wytłumaczenie.

Zosia: Piszmy więc.

Lusia: Dobrze!

(Siadają i piszą; — po chwili).

Zosia: Ja już gotowa!

Lusia: Już? No to czytaj, a ja już pisać nie potrzebuję.

Zosia (Czyta): "Drogi Panie!

Prosimy Cię bardzo pięknie o wytłumaczenie tych słów "dzanytor" i "endzajner", bo słyszymy, że często ich używają, a nie umiemy w ich miejsce podać odpowiednich słów polskich; prosimy o to, ponieważ wiemy dobrze, że to bardzo nie pięknie mieszać obce słowa do polskiej mowy. Prosimy o odwrotną odpowiedź i pozdrawiamy serdecznie.

Zosia i Lusia,

Córki swego Tatusia.

Odpowiedź:

Kochana Zosiu i Lusu!

Macie słusność, że to brzydko mieszać angielskie słowa do naszej ślicznej polskiej mowy, i to w dodatku słowa popsute i przekręcone! "Janitor" po angielsku — na polskie znaczy stróż, albo odźwierny — jest to zazwyczaj ten człowiek, który pilnuje porządku w budynku; "Engineer" to znów maszynista; słowo pochodzi od wyrazu angielskiego "engine" — maszyna, motor; czasem wyrazu tego używają na określenie owego obywatela, który opala i utrzymuje w porządku piece i kotły ogrzewalne po wielkich budynkach, fabrykach itp.

Pamiętajcie dziatki wszystkie — nie psuć naszej polskiej mowy i nie mieszać do niej słów obcych; mówcie — albo czysto po polsku, albo czysto po angielsku, ale nie jakąś mieszaniną! Pamiętajcie!

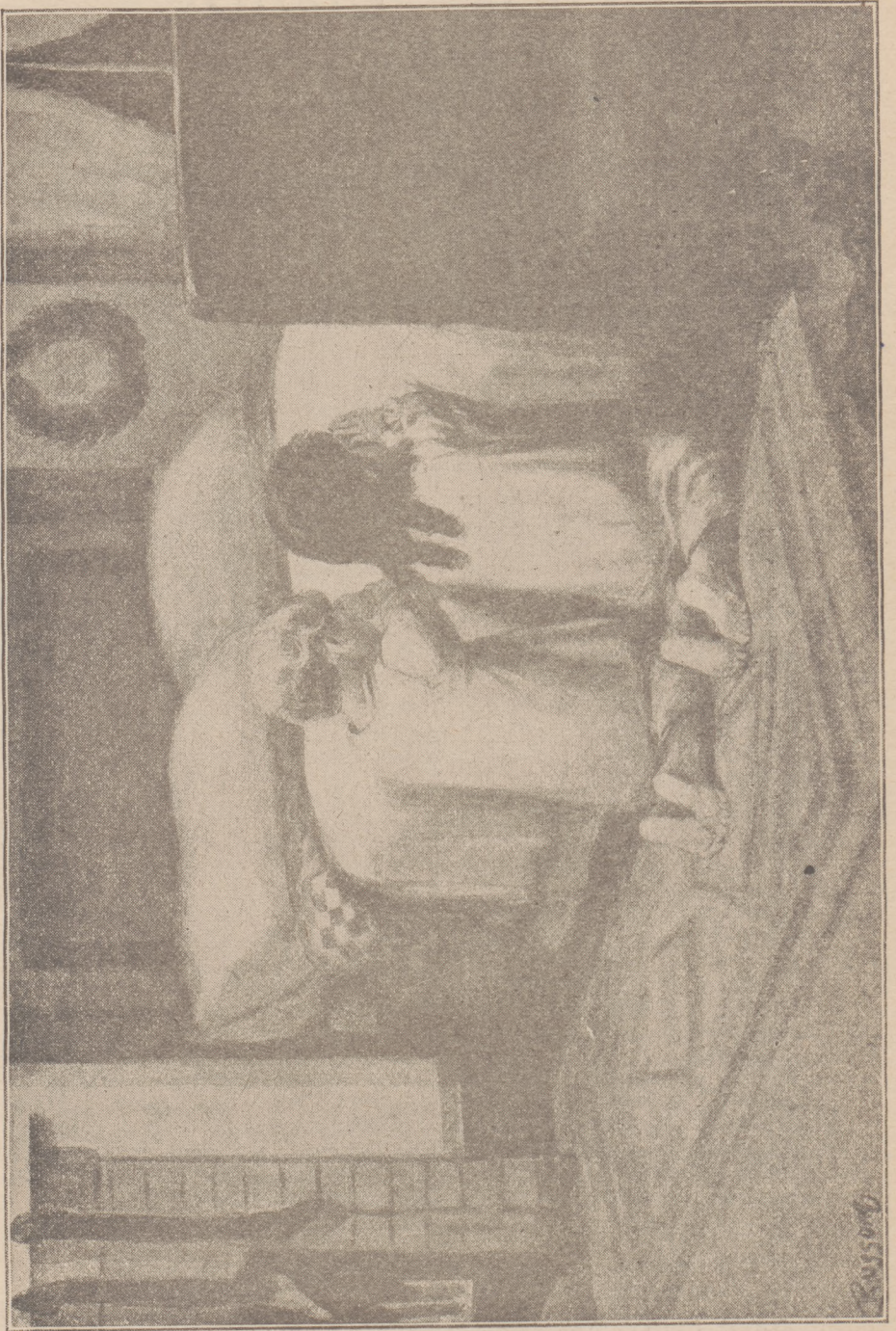
Wasz Przyjaciel.

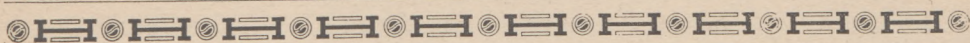


O Polskę Módlcie Się Dziaatki.

Dziateczki Polskie, pójdźcie kochane,
Razem paciorek zmówimy,
Uciszcie Wasze buziaki rozśmiane:
Za Polskę się pomodlimy.
Grzecznie, poważnie, pobożnie, szczerze
Litanię do Bożej Matki
Niech zmówią, serca wznosząc w ofierze
Wszyscyuchne tu nasze Dziaatki.
Widzicie Dzieci — Niebios Królowa
Jest także Polski królową:
Ona ją w pieczy matczynej chowa,
Jej dolę słodzi hiobową.
Oto z ludami — Polska — wieloma
W straszliwej Wojny rozprawie
Dawno skutemi wstrząsała rękoma
I wstała w boju i w sławie!
A chociaż przemóc ciemna i wroga
W krwi rzekach i w siół pożarze
Cheę tłumić czyn ten, . . . Polska nieboga
Krwawi się w cierpień bezmiarze, —
Choć jeno łyzy jej i ból zostały
I zawód i noc żałoby, —
Kirem się krwawym kraj zasnuł cały,
Zostały — zgliszcza i groby! . . .
Została tylko — modlitwa z nami
I w niej tętniące nadzieje,
Że Polska zgodnych czynów siłami
Zmieni niedoli koleje;
Że rychło znowu w Ojczyźnie biednej,
Płacz scichnie i ból przeminie,
I już nie będzie łezki ni jednej
Wcałuchnej Polskiej Krainie.

.....
O to dziś właśnie, Dziaatwo ma droga,
O to nam modlić się trzeba:
Proścież Dziateczki o Polskę — Boga:
Wasz głosik trafi do nieba!
Niech Waszych modlitw niewinne pienia
Zgodnie ku Maryi się wzniosą,
Niech Polsce zyszczą dzień Wyzwolenia
Ożywczą nam spadną rosą!





Skąd Do Nas Przy- bywają Zabawki.

Święta Bożego Narodzenia, Wigilia, Gwiazdka, drzewko, zabawek stoty całe, zabawki po składach i sklepach, zabawki po domach naszych, zabawki najrozmaitsze w ręku każdego niemal dziecka, oto — co jest głównym przedmiotem myśli i marzeń każdej dziewczynki i chłopczyka każdego w ulubionym przez dzieci okresie Świąt Bożego Narodzenia.

Bawi się mała wiara, ogląda podarki, cieszy niemi, ustawia, przegląda, porządkuje i znowu rozrzuca, dzień cały młodzież zabawkami nowymi zajęta...

Ale, ale!... Czy wiecie wy dzieci, skąd to do nas zabawki te przychodzą? Oczywiście naszym polskim katolickim dzieciętom przysyła je, a czasem nawet przynosi osobiście Święty Mikołaj lub Aniołek Boży; amerykańskiej dziatwie tutejszy Santa Claus wiezie zabawki w sankach, zaprzężonych w kilkanaście ślicznych jeleni; innym dziatkom, starszym już, rodzice sprawiają podarki gwiazdkowe, a zawsze i w każdym razie rodzice wstawiają się, czy to do św. Mikołaja, czy do Aniołka, czy wreszcie do owego Santa Claus i proszę, aby o ich pociechach pamiętali.

No, tak, ale przecie Aniołkowie, ani Święci w niebie nie zajmują się fabrykacją zabawek; mają oni dość zajęcia, pilnując ludzi i dzieci małych, przez dobrego Boga ich opiece i modlitwom powierzonych... skądże tedy są te zabawki, które dziatwie rozdają? Oto pochodzą one z rozmaitych krajów, gdzie się je wyrabia i skąd je przysyłają do składów i sklepów, a tam je właśnie nabywają Ci, co niemi obdarzają grzeczne dzieci.

I tak na przykład: Koniki, na których chłopcy lubią się hustać, albo koniki zaprzęgane do drewnianych wózek, pochodzą z Anglii, laleczki porcelanowe z Francji, jak również i ich sukienki, żołnierze ołowiane jadą do nas z Anglii, w Ameryce wyrabiają sanki i łyżwy zwyyczajne i kołowe, a także i towarzyskie gry rozmaitego rodzaju; zabawki mechaniczne i skórą obciążane zwierzątka, sprowadzają z Bawaryi, skąd przybywają do nas także i owe tak dobrze znane arki Noego z

drewnianemi figurkami zwierząt rozmaitych. W Bawaryi — trzeba wam wiedzieć — istnieją całe wsie i miasteczka, których mieszkańcy od bardzo dawnych lat, z pokolenia na pokolenie zajmują się tylko wyrobem zabawek drzewianych i nieźle z tego ciągną zyski: nawet dzieci tam pomagają przy wyrabianiu zabawek i — gdy starsi rzeźbią i wyrzynają z drzewa figurki, młodzież maluje je i wykańcza.

Na zakończenie powiemy wam jeszcze, dzieciaczki, skąd przybywają do nas potrawy i łakocie świąteczne. Powiecie może: ano przybywają do kuchni ze składu... Ale skądże się one w składzie biorą? — Czytajcie, to się dowiecie: Ryby, jadane na święta, pochodzą z okolicy wielkich jezior — z tychże jezior właśnie, ale łowią je także w rzekach i w morzu; indyka — wiecie — chowają po farmach i gospodarstwach, jak resztę drobiu; żórawina pochodzi z Wisconsinu, a także ze Stanu Washington i z wyspy Nantucket na Oceanie Atlantyckim, daktyle i figi rosną w Azji i Afryce północnej, Indyje azyatyckie dostarczają korzeni i przypraw; rodzyнки mogą pochodzić z winogron hiszpańskich, czekoladę posyłają nam Meksyk, Holandia i Francya, a orzechy rozmaite sprowadzamy z Europy, Azji i Ameryki południowej, choć rosną one i w naszych lasach, skąd także przywożą owe ukochane przez dżiatwę i miluchne takie choinki świąteczne, czyli “Boże drzewka.”

Tak — widzicie — wszystkie kraje i części świata składają się na upiększenie i umilenie tych najcudniejszych świąt Bożego Narodzenia, bo też wszystkie ludy i narody radują się z przyjścia Pana Jezusa, którego urodzin rocznię świat — corocznie tak uroczyście obchodzi.



ŚW. MIKOŁAJ.

(Opowiedział na zakończenie tej książeczki swoim małym Przyjaciołom.—K. W.)

Hej, gdzie te czasy?... Gdzie one!...

Przed laty — mniej więcej 30-tu, wieczorem — w dzień św. Mikołaja — jak wczoraj pamiętam: — siedziałem z dwoma młodszymi siostrzyczkami cichutko w kącie... czekając, rychło dzwonek zadzwieczy pod oknami rodzinnego dworku, a potem wkroczy do pokoju dziecinnego, dobry, umiłowany, a pobłażliwy tak bardzo, a taki hojny — patron dziatwy — stary Mikołaj, nasz dziecinny święty w nieodstępnej — jaśkawkowej asystencyi “Anioła” i “dyabła”...

Cały ów dzień byłem arcygrzeczny, aby w oczach Mateczki przytuszować choć w części całoroczne brojenia...

Więc siedzimy w kącie—jak myszy na pudle... Oczekamy...

Może nie przyjdzie?...

Wreszcie... wreszcie słyhać dzwonki. Idzie już, idzie — Św. Mikołaj!!...

Po chwili niezwykły łoskot w sieni, głosy zmieszane, basowe chrząkanie i — roztwierają się drzwi szeroko, a w nich ukazuje się wysoka, majestatyczna postać “Świętego” w złocistej, choć papierowej infule, z imponującym pastorałem — w ornacie wspaniałym... Przy nim “aniołek”, kryjący za jedlinową gałązką — jakąś łatwą do poznania twarzyczkę; — w cieniu nieco w tyle, “dyablisko” na łańcuchu od krowy: jak noc czarny, z czerwonym, zwieszonym aż do ziemi ozorem i z różgą rozmiarów przerażających: postrach dziatwy wszystkiej, a mój w szczególności — może dlatego, że się najmocniej w głębi duszy chłopięcej do owego brzozowego “mikołajka” poczuwał...

Powitał “Święty” rodziców, przyczem śp. Ojciec mój, uśmiech tłumiąc, okrutnie wasy zagryzał, co mi się wówczas mocno dziwnem wydawało, a tylko Mama — całując w rękaw “Świętego” — powagę chwili dzielnie ratowała; — potem Mikołaj pyta o grzeczne dzieci... A dzieci już — buch — na kolanka i wszystkie razem zdławionemi trwogą gardziołkami — przez łzy — zaczynają paciorek... Siostrzyczki moje ze strachu lewą zegnają się rączką — ja mocno odważnie, choć drżącym głosem zaczynam: “Ojciec nasz, daj nam chleba powszedniego, jak i w niebie, tak i na ziemi.”

Masz teraz! Wszystko mi się w konfuzji pomieszało: w główinie istny groch z kapustą, ale klepię jak mogę — by jakoś dojechać do “śmierci naszej, Amen”... A tu już i “Anioł”, widzę, zaczyna się krztusić ze śmiechu za swoją gałązką z jedliny, a “dyabeł” w głębi jego basem porykuje z ukontentowania i groźnie łańcuchami dzwoni...

“Trzymajże aniele — tego dziada!” — strofuje poważnie Mikołaj chichoczącego “Anioła” — wskazując na “czarta” pastorałem.

Więc tam jakoś “dyabła” uspokoił i misteryum dziecięce dalej się toczy.

Ale ja — na seryo utknąłem; na bek mi się zbiera... Aż przecie sam “Święty” staruszek przychodzi mi z pomocą i łaskawie głaszcze po głowie i uspokaja, a do grzeczności napomina, do książeczki dobrotliwie zachęca...

Wreszcie prowadzi malców do wielkiej sieni, gdzie nam ukazuje zabawki, łakocie — cudnie rozłożne na dywanie...

O radości!

Lecz... pożegnać trzeba przecie św. Mikołaja; zabiera się już do odejścia... Więc błogosławi dziatwę i żegna rodziców i mówiąc “Niech będzie pochwalony” — wraz z asystą — znika nam z oczu...

Dopieroż do cacek, do pierników, orzechów!... Długo w noc młoda wiara spać nie może, przegląda otrzymane skarby. Wreszcie posnęli... Mama każdemu nad łóżkiem zawiesiła różeczkę, zdobną w pozłotę i włóczki kolorowe — jako widoczne, a gdyby tak padło, to i — namacalne przypomnienie napomnień “Świętego”...

.....

Później — po latach kilku, wtajemniczono mię, jako najstarszego — w sekret swych rodzinnych misteryów...

.....

A potem długo — długo nie przychodził już do mnie św. Mikołaj;... widać nie byłem dość grzeczny;... zresztą może i obraził się na mnie, bo przecie podpatrzyłem tak niedyskretnie jego sekrety;... pamiętam: raz, przewracając na strychu, znalazłem papierową infułę!...

.....

I długo nic o świętym Mikołaju nie słyszałem, bo sam byłem na świecie, aż nareszcie — kiedy i moja chata ożywiła się gwarem głosów dziecięcych, więc sobie nas znowu dobry Święty przypomniał i do swojej łaski nas przywrócił.

Odtąd co rok, w dzień św. Mikołaja znowu przychodzi do mej, w zaświaty rzuconej rodziny, uroczą pamięć dobrotliwego staruszka, na to zaś przyjsie moja dziatwa, raduje się serdecznie.

Ot niedawno trzem córeczkom moim powiadam, by przy kominku zawiesiły pończoszki, bo może św. Mikołaj też do nich włożyć zechce...

A na to jedna z moich "panien" rzecze:

Nasze pończoszki bardzo małe — my lepiej weźmiemy pończoszki mamusi, to do nich więcej się zmieści...

Jak rzekły — uczynią — rzeczą zaś ojca — postarać się o to, by się te dziecinne nie zawiodły wyrachowania...

Pewien pan znajomy opowiadał mi:


"Wiesz pan, jak dowcipną mam córę? Kiedy jej radzono, by swe pończoszki na łakocie Św. Mikołaja przygotowała, — ona zawiesiła u kominka pończoszek dwanaście, tłumacząc, że do jej pończoszki nawet jabłko porządne nie wlezie!...

.....
Czyż nie słusznie? Co, dzieci? Nie — prawda?
.....

O słodki, cudny wieku dziecięcy! Wieku niezmaconych wierzeń i czwstey radości!... Kwitnij! Świć się!... Czemuż twe kwiaty tak rychło przekwitną!

Ano, taki los, taka kolej zwyczajna doli ludzkiej...





W To Noworoczne Święto.

Nowego roku złocista zorza
Jasnym promieniem świeci:
Płynie przez gwiazdne niebios przestworza,
Do polskich płynie Dzieci.
Kolendy piosnka dzwoni nam rzewna
Modlitwą uskrzydloną,
Mknie dobrych rojeń wróżka królewna,
Radością przepełnia łono.
Po świecie urocze pieśni lecą
Harmonią niepojętą —
Po domach radość, choinki świecą,
W to Noworoczne Święto.
Hej w noworoczny dzień ten świąteczny —
Dziateczki ukochane —
Ta Wam książeczka, druh śle serdeczny
Śliczności drukowane:
A oprócz piosnek, oprócz bajeczek
Co je w swej szacie chowa,
Niesie dla chłopców i dla dziewczeczek
Najmilszych życzeń słowa:
Rośnij nam zdrowo Działwo ty Droga,
Niech Ci się dola kwieci:
Kochajcie cnotę, miłujcie Boga,
Jak prawe Polskie Dzieci.

Spis Rzeczy.

	<u>Stronica</u>
“Podarek Nowy”	2
Jak Się Bawili Jaś, Józio i Justysia	3
Pszczóły	5
Imieniny Lalki	7
Rozmowa z Panem Jezuskiem	9
Anioł Stróż	10
Listy do Aniołka	11
Katar w Szkole	13
Okropna Operacya	15
Niespodzianka dla Babei	17
Pranie	21
Kołysanka Ślepej Dzieciny	22
Psotny smyczek	23
Idzie Maj	26
Przygoda w Parku	27
O Kościuszcze	30
Sekret	31
Wiaderko Węgla	35
Mali Ogrodnicy	38
Ciała Stałe, Płynne i Lotne	39
Nieszczęśliwa Przygoda Smyczka!	43
Gospodarstwo	45
Rozmowa Dwu Dziewczynek	49
O Polskę Módlcie Się Dziaćki	53
Skąd Do Nas Przybywają Zabawki	55
Św. Mikołaj	57
W To Noworoczne Święto	60



Andrzej
Krakow 26 04 22
-3500



1413424

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001020719430